

STEFAN GRABIŃSKI

DEMON RUCHU



WYDAWCA DR B. GOFRON

WARSZAWA — KRAKÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO

Demon ruchu. Nowele

Stefan Grabiński



Księgarnia J. Czerneckiego, Kraków, 1919

Pobrano z Wikiźródła dnia 25.08.2020

S T E F A N G R A B I Ń S K I

DEMON RUCHU
N O W E L E



W A R S Z A W A = K R A K Ó W
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO
DAWNIEJ KSIĘGARNIA SPÓŁKI WYD. POLSKIEJ

Karolowi Irzykowskiemu

w hołdzie i podziwie

poświęca

Autor

SPIS NOWEL:

	str.
Maszynista Grot	1
Błądny pociąg	23
Demon ruchu	39
Smoluch	63
Wieczny pasażer	83
W przedziale	103
Sygnały	125
Ślepy tor	143
Ultima Thule	181

Z DRUKARNI J. CZERNECKIEGO W KRAKOWIE.



Tekst jest [własnością publiczną](#) (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Stefan Grabiński](#).

MASZYNISTA GROT.

Z urzędu ruchu stacji Brzana nadeszła do naczelnika Podwyża depesza następującej treści:

— Bacność na pospieszny Nr. 10! Maszynista pijany lub niepoczytalny.

Urzędnik, wysoki, kościsty blondyn z rudawymi baczkami odczytał rulon raz i drugi, odciął wąską, białą taśmę, wysnutą z bloku i zwinąwszy w pierścień dookoła palca, wsunął do kieszeni. Krótkie spojrzenie, rzucone na zegar stacyjny, pouczyło, że na sygnalizowany pociąg jeszcze dość czasu. Więc ziewnął znudzony, zapalił niedbałym ruchem papierosa i przeszedł do sąsiedniego pokoju kasyerki, jasnowłosej, posadzistej panny Feli, przygodnego ideału w chwilach nudy i oczekiwań na lepszy kąsek.

Podczas gdy pan naczelnik tak godnie przygotowywał się na przyjęcie zapowiedzianego parowozu, ujechał podejrzany pociąg już spory kawał drogi poza stację Brzana.

Pora była przecudna. Gorące, czerwcowe słońce przeszło już zenit i rozlewało po świecie złotą siejbę promieni.

Migały w przelocie ukwiecone jabłonią i czereśnią wsie i przysiołki, rzucały się w stecz zielonemi płachtami łąki i sianozęcia. Pociąg pędził całą siłą pary: tu go chwycił w szumiące chwiejbą sosen i świerków ramiona las, tam wynurzone z objęć drzew witały przetowłosym pokłonem zbożne pola. Daleko na horyzoncie siniała mglistą wstęgą linia gór...

Grot, oparty o skrzydło maszyny, wbił poprzez owalne okienko nieruchome spojrzenie w przestrzeń, która snuła się długim, szarym traktem, ujętym w czarne pasy szyn. Pociąg wślizgnął się na nie lekko, drapieźnie, okraczał żelaznym układem kół i zgarniał skwapliwie pod siebie.

Maszynista czuł niemal fizycznie rozkosz tego ciągłego zdobywania, co, nigdy nie syte wypuszcza lekceważąco dopadnięty już łup i mknie dalej na nowe podboje. Grot lubiał pokonywać przestrzeń!..

Bywało, zapatrzy się we wstęgę toru, zaduma, zamyśli, o świecie bożym zapomni, aż go palacz za ramię szarpnąć musi i ostrzedz, że ciśnienie za wielkie lub stacya już blisko. Zapamiętałcem bo był maszynista Grot nielada!

Zawód swój kochał ponad wszystko i nie zmieniłby go za nic w świecie. Wstąpił do służby stosunkowo dość późno, bo dopiero w trzydziestym roku życia, lecz mimo to odrazu okazał tak pewną rękę w prowadzeniu parowozów, że prześcignął wkrótce starszych kolegów.

Czem był przedtem, nie wiedziano. Wypytywany, odpowiadał niechętnie ni to, ni owo lub milczał uporczywie.

Towarzysze i władze otaczały go widocznym

szacunkiem, wyróżniając wśród innych. W słowach jego krótkich, skąpo rozdzielanych między ludzi, przebijała inteligencja nie powszednia, cześć nakazująca.

Chodziły o nim i jego przeszłości pogłoski przeróżne, często wzajem sprzeczne; lecz na dnie wszystkich spoczywało zgodne przekonanie, że Krzysztof Grot był jednostką t. zw. zwichniętą, czemś w rodzaju spadłej gwiazdy, jednym z tych, którzy mieli pójść górnym szlakiem a dzięki fatalizmowi życia osiedli na mieliźnie.

On sam jednak jakby nie zdawał sobie sprawy ze swego położenia i nie ubolewał nad sobą. Służbę pełnił chętnie i nie zabiegał o urlopy. Czy zapomniał o tem, co minęło, czy nie czuł się nigdy powołanym do wyższych celów — nie wiadomo.

Z przeszłości Grot'a zdołano wyłonić i ustalić tylko dwa fakty: jeden ten, że służył wojskowo podczas kampanii francusko-pruskiej, drugi, że wtedy stracił ukochanego brata.

Bliższych szczegółów mimo wszelkie wysiłki ciekawców wydobyć zeń nikt nie potrafił. Wkońcu dano za wygraną, zadawałając się skąpą wiązką biograficznych danych „inżyniera Grot'a“. Tak bowiem bez określonej przyczyny nazwali z czasem kolejarze małomownego towarzysza. Przewisko to, nadane mu zresztą wcale nie w złośliwej intencji, zrosło się jakoś tak dokładnie z osobą maszynisty, że nawet władze tolerowały je w rozkazach i rozporządzeniach. W ten sposób chcieli ludzie zaznaczyć jego odrębność...

Maszyna pracowała ciężko, oddechając co chwila

kłębamii kłączastego, zmierzwionego dymu. Podsycana wciąż gorliwą ręką palacza para rozlewała się piszczelami rur po kościu żelaznego olbrzyma, popychała suwak, parła o tłoki, pędziła koła. Gruchotały szyny, skrzypiały tryby, przerzucały się z trzaskiem dźwignie i heble rewersujące...

Na chwilę Grot ocknął się z zadumy i spojrział na manometr. Wskazówka, zakreśliwszy łuk, zbliżała się ku fatalnej trzynastce.

— Puść pan parę!

Palacz wyciągnął rękę i szarpnął wentyl; rozległ się przeciągły, dojmujący gwizd a równocześnie z boku maszyny wykwitła cieniutka mlecznobiała tulejka.

Grot skrzyżował ramiona na piersiach i zapadł powtórnie w marzenia.

— „Inżynier Grot“ — cha, cha! Nader trafny przydomek! Ludzie nawet nie przypuszczają, jak bardzo trafny!...

Maszynista ujrzał nagle gdzieś w dalekiej mglistej perspektywie lat ubiegłych cichy, skromny domek na przedmieściu stolicy. W jasnej, środkowej izbie duży stół, zarzucony stosem planów, dziwacznych rysunków, technicznych szkiców. Nad jednym pochyłona płowa główka Olesia, młodszego brata. Obok stoi on, Krzysztof i wodzi palcem wzdłuż szafirowej linii, okrążającej eliptycznem zgięciem jakąś płaszczyznę. Oleś przytakuje, coś poprawia, tłumaczy... To ich pracownia — to tajemnicze wnętrze, z którego wylął się śmiały pomysł latawca, który swobodnie bujając po przestworzach, miał podbić atmosferę, poszerzyć myśl ludzką i ponieść ją w

zaświaty, w nieskończoność... Niewiele już brakowało do ukończenia dzieła: miesiąc, dwa, trzy najwyżej. Wtem przysła wojna, branka, pochód, bitwa i... śmierć. Schyliła się jasna głowa na zbroczoną pierś, zamknęły chabrowe oczy na wieki...

Pamięta ten moment jedyny, okropny moment wdzierania się na szczyt „czerwonego fortu“. — Olek pomknął bohatersko naprzód, widny z dala na czole oddziału. Już wyciągnięta jego szabla muskała brzeszczotem skraw barwnego proporca, już męska ręka ujmowała zwycięskim chwytem jego drzewce... Wtem błysnęło coś z bastyonu, kurzawa dymu bluznęła z fortecznych wyziorów, piekielny huk rozkołysał blanki... Oleś zachwiał się, zawahał pod migotliwą tęczą wypuszczonego pałasza i runął w dół — na progu bojowych zamierzeń, w samym momencie żołnierskich ziszczeń, w chwili docierań do celu...

Śmierć tę odchorował Krzysztof: długie miesiące przeleżał w malignie w polowym lazarecie. Potem — wrócił w codzienne życie na pół złamany. Zarzucił dawne pomysły, światoburcze idee, zdobywcze plany: został maszynistą. Odczuwał kompromis, rozumiał karykaturę myśli, lecz nie miał już siły; poprzestał na miniaturze. Wkrótce surogat zastąpił zupełnie pierwotny ideał, przesłonił swą ciasną, szarą ramą szerokie niegdyś horyzonty: zdobywał przestrzeń na nową, małą skalę. Lecz wyprosił sobie u władz jazdę wyłącznie pospieszną — pociągów zwyczajnych nigdy nie prowadził. Tym sposobem, zyskując na terenie, zbliżał się choć w części do

pierwowzoru. Upajał się szaloną jazdą na szeroko rozpiętych liniach, odurzał pokonywaniem w krótkim czasie znacznych odległości.

Nie znosił tylko dróg powrotnych, niecierpiał rekordów t. zw. *tour-retour*. Grot lubiał pędzić tylko przed siebie — brzydził się wszelkich powtórzeń. Dlatego wołał wracać do nieubłaganego punktu wyjścia drogą okrężną, linią kolistą lub elipsą, byle nie bezwzględnie tą samą; dostrzegał wybornie niedoskonałość tych krzywizn, które w siebie wracają, czuł nieetyczność tych dróg, bądź co bądź wsobnych, lecz ocalał choć pozór ruchu postępowego, miał przynajmniej złudzenie, że dąży przed siebie.

Bo ideałem Grota była szalona jazda w linii prostej bez zboczeń, bez obiegów, jazda opętana bez tchu, bez postojów, wichrowy pęd maszyny w błękitniejące mgłą oddale, skrzydlata gońba w nieskończoność.

Grot nie cierpiał jakiegokolwiek mety. Od czasu tragicznej śmierci brata wytworzył się szczególny uraz psychiczny, objawiający się w lęku przed wszelkim celem, przed wszelkim dowolnego rodzaju końcem, kresem. Ukochał całą mocą wieczystość dążenia, znojność zasięgów — znienawidził realizację dopięć — drżał przed momentem spełnień z obawy, by w owej ostatniej, rozstrzygającej chwili nie zaskoczył zawód, nie pękła napięta struna, by nie stoczyć się w przepaść, jak wtedy — jak Oleś przed laty...

Stąd odczuwał maszynista żywiłowy lęk przed stacją i przystankami. Miał ich wprowadzie na swoich przestrzeniach niedużo, lecz zawsze były i pociąg należało od czasu do czasu zatrzymywać.

Stacya stała się dlań z czasem symbolem znienawidzonego końca, plastycznym urzeczywistnieniem wytkniętych celów wędrówki, ową przeklętą meta, przed którą zdejmował go wstręt i trwoga.

Idealna linia drogi rozpadała się na szereg odcinków, z których każdy był zamkniętą całością, od punktu wyjścia do punktu przybycia. Powstawało rozczarowujące ograniczenie, ciasne, nad wyraz banalne: stąd — dotąd. Na wyprężonej cudownym rzutem w bezkresy wstędze tworzyły się tępe węzły, uparte supły i psuły rozpęd, plugawiły szak.

A ratunku na razie nie widział nigdzie: z natury rzeczy pociąg musiał co jakiś czas zawijać do obmierzłych przystani.

I gdy już na widnokregu wynurzały się kontury zabudowań stacyjnych, rysowały czerwonym lub żółtym ekranem rozpięcia ścian, opadały go nieopisany lęk i obrzydzenie; podniesiona ku korbie ręka mimowoli cofała się i musiał używać całej siły woli, by stacyi nie minąć.

Wkońcu, gdy sprzeciw wewnętrzny wzrósł do niebywałego napięcia, wpadł na szczęśliwy pomysł. Postanowił wprowadzić pewną dowolność w zakresie mety przez uruchomienie jej punktów granicznych. Dzięki temu pojęcie stacyi, tracąc dużo z wyrazistości, stawało się czemś ogólnikowem, czemś tylko zlekka naszkicowanem i nader elastycznym. Owa przesuwalność granic użyczała pewnej swobody ruchów, nie krępowała bezwzględnie kagańcem hamulca. Punkty postojowe, nabrawszy charakteru płynności, przetworzyły nazwę stacyi w termin

nieokreślony, sobiepański, niemal fikcyjny, z którym nie trzeba się było już tak liczyć; słowem stacya w tak szeroko pojętem znaczeniu, poddana dowolnej interpretacyi maszynisty, była teraz mniej groźną, chociaż mimoto wstrętną.

Chodziło więc przedewszystkiem o to, by nigdy nie zatrzymywać pociągu w miejscu oznaczonem mniej więcej przez przepis, lecz zawsze wychylać się o jakiś kawałek za lub przed.

Grot postępował zrazu bardzo ostrożnie, by nie budzić podejrzeń urzędników; odchylenia były początkowo tak nieznaczne, że nie zwracały uwagi. Chcąc jednak wzmocnić w sobie poczucie dowolności, wprowadził maszynista pewne urozmaicenie: raz stawał zawczasie, drugi raz zapóźno — drgnienia wahały się to w jedną, to w drugą stronę.

Lecz z czasem ta ostrożność zaczęła go drażnić; swoboda wydawała się pozorną, iluzoryczną, czemś w rodzaju samooszukiwania się; niezamącony zdziwieniem spokój, rozlany na twarzach kierowników stacyi, irytował, budząc ducha przekory i buntu. Grot rozzuchwiał się: wychylenia stawały się z dniem każdym silniejsze, diapazon rósł, wzmagał się.

Już wczoraj naczelnik ruchu w Smągłowie, szpakowaty, z wiecznie przymrużonemi, jak u starego lisa, oczkami jegomość, dziwnie zezował w stronę pociągu, zatrzymanego spory kawał przed stacyą. Grotowi zdawało się nawet, że coś mruczał, wskazując ręką w jego stronę. Lecz jakoś uszło na sucho.

Maszynista zacierał ręce i cieszył się:

— Przecież zauważyli!

Wyjeżdżając dziś nad ranem z Wrotycza, postanowił podwoić stawkę.

Ciekaw jestem — pomyślał, puszczając kurki w ruch — w jakim też stosunku wzrośnie irytacja tych panów? Przypuszczaćby należało, że do kwadratu odległości.

Jakoż domysł nie zawiódł. Cała dzisiejsza tura miała być nieprzerwanem pasmem awantur.

Zaczęło się w Zaszumiu, pierwszej większej przystani na linii, którą zamierzał przebyć. Uśmiechając się złośliwie pod wąsem, zatrzymał pociąg kilometr przed stacją. Oparłszy się o porapet maszyny, zapalił Grot fajeczkę i pykając z niej powoli, przypatrywał się z zajęciem zdumionym minom konduktorów i kierownika pociągu, który nie umiał wytłómaczyć sobie postępowania maszynisty. Kilku pasażerów wychyliło strwożone głowy i rozglądało się na prawo i lewo, zapewne przypuszczając jakąś przeszkodę w ruchu. Nadbiegł wreszcie i urzędnik stacyjny, zapytując o powód:

— Czemu pan nie zajeżdżasz przed peron? Przeszkody żadnej nie sygnalizowano, wszystko w porządku.

Grot wypuścił spokojnie duży, zwarty kłęb dymu i nie wyjmując fajki z ust, wycedził flegmatycznie przez zęby:

— Hm... tak? A mnie zdawało się, że zwrotnica źle nastawiona. Nie opłaci się już podjeżdżać ten kawałeczek: moja staruszka trochę się zadyszała.

Tu uderzył pieszczotliwie w bęben kotła.

— Zresztą goście i tak już sami wysiadają — niech pan

naczelnik popatrzy — o, jeden, dwóch, tam cała rodzina.

Istotnie: zniecierpliwieni czekaniem pasażerowie zaczęli opuszczać wagony i piechotą, uginając się pod ciężarem tobołów i pakunków, zdążali ku stacyi. Grot przeprowadzał ich ironicznem spojrzeniem i ani myślał zmieniać taktyki.

Urzędnik lekko zmarszczył się i dając za wygraną, upomniał na odchodnem:

— Na przyszłość wyteżaj pan lepiej oczy!

Maszynista zbył uwagę pogardliwem milczeniem. W parę minut potem poszybował pociąg mimo stacyi w dalszą drogę.

Na najbliższym z kolei przystanku Brzana powtórzyła się niemal identyczna historia z tą tylko odmianą, że tym razem spodobało się Grotowi zatrzymać pociąg kilometr poza stacją. I tu postawił maszynista na swoim i nie cofnął się przed peron. Zauważył jednak, jak przed ruszeniem w dalszą drogę kierownik pociągu szeptał coś żywo przez parę minut z naczelnikiem; z wyrazu oczu i gestów poznał Grot, że on był przedmiotem rozmowy, lecz udał, że tego nie dostrzega. Ubawił go tylko znamieny półkolisty ruch, zakreślony palcem na czole przez urzędnika w czerwonej czapce. Wkrótce potem pędził znów pełną parą, ani nie przypuszczając, że równocześnie telegraficzny aparat, puszczonego w ruch w Brzanie, zwrócił nań uwagę władz stacyjnych Podwyża.

A już był od miasta niedaleko. Już przekreślały podwieczorne niebo złociste krzyże kościołów, przemijały się nad morzem dachów przeguby dymów, strzelały ostro iglice fabryk. Już krzyżowała się w dali sieć szyn, czerniał

las zwrotnic, widniała połogo ustawiona szyba dystansu.

Grot ujął krzepko korbę, nastawił dźwignię, zakręcił hamulec; maszyna wydała żalostną skargę niby jęk, niby świst, wyplunęła zebrami potężną siklawę pary i osadziła się na miejscu: pociąg stanął dobre półtora kilometra przed stacją.

Grot odjął ręce od kurków i studyował efekt. Nie zawiódł oczekiwania. Uprzedzony już naczelnik wysłał w roli parlamentarza niższego rangą kolebę.

Młody człowiek miał minę surową, niemal skupioną. Wyprostował się, naciągnął sztywnie służbową bluzę i wstąpił uroczyście na platformę maszyny.

— Zajeżdżaj pan na stację!

Grot milcząco zawinął korbę, puścił w ruch heble: pociąg ruszył.

Dumny z odniesionego tryumfu asystent skrzyżował po napoleońsku ramiona i odwrócony lekceważąco od maszynisty i kotła, zapalił papierosa.

Lecz sukces był tylko pozorny. Bo oto pociąg przeleciał z szumem mimo peronu i zamiast zatrzymać się przed stacją, ujechał znaczny kawał poza nią, by tu dopiero, dymiąc wszystkimi parami, przystanąć na odpoczynek.

Urzędnik zrazu nie zorientował się; dopiero spostrzegłszy na lewo poza sobą budynek stacyjny, rzucił się groźnie ku maszyniście:

— Czyś pan zwaryował? Zatrzymywać pociąg w czystym polu! Albo masz pan bzika lub piłeś dziś za dużo! Proszę natychmiast zawracać!

Grot ani drgnął, nie ruszył się z miejsca. Wtedy urzędnik

odsunął go gwałtownie od kotła i zajmąwszy jego stanowisko, puścił kontraparę; po chwili pociąg dysząc zajechał przed peron.

Grot nie przeszkadzał. Jakaś szczególna apatya obezwładniła mu ruchy, spętała ręce. Patrzył tępo na twarze służby, funkcjonariuszy i urzędników, którzy gromadnie otoczyli jego maszynę; bezwolnie dał się ściągnąć z platformy — jak automat poszedł za wzywającym go za sobą naczelnikiem.

Po paru minutach znalazł się w biurze stacyjnym przed dużym, zielonym sukniem zasłanym stołem, na którym kłapały bezustannie w nerwowych podrzutach aparaty, wysnuwały się z bloków długie taśmy, trzepotały dzwonki.

Kierownik stacyi poddał go przesłuchaniu. Siedzący obok protokolant umoczył pióro i w natchnieniu czyhał na pytania, które miały paść z ust zwierzchnika.

Jakoż padły.

— Pańskie nazwisko?

— Krzysztof Grot.

— Wiek?

— 32 lat.

— Kiedy pan wyjechał z Wrotycza

— Dziś 4⁵⁴ nad ranem.

— Czy oglądał pan maszynę przed objęciem pociągu?

— Oglądałem.

— Czy pamięta pan seryę i numer maszyny?

Po twarzy Grota przemknął dziwny uśmiech:

— Pamiętam. Serya: zero, numer: nieskończoność.

Urzędnik spojrzał porozumiewawczo na zapisującego

zeznania kolegę.

— Proszę liczby podane w tej chwili przez pana napisać na tej kartce.

Tu naczelnik podsunął mu pod rękę ćwiartkę papieru i ołówek.

Grot wzruszył ramionami:

— A owszem.

I skreślił w odstępach następujące dwa znaki: $0\dots\infty$.

Naczelnik spojrział na liczby, pokiwał głową i prowadził w dalszym ciągu indagację:

— Liczba jaszczyka?

— Nie pamiętam.

— To źle, bardzo źle — maszynista powinien wiedzieć takie rzeczy — zaopiniował sentencyjnie.

— Jak się nazywa pański palacz? — zapytał po małej przerwie.

— Błażej Niedorost.

— Imię zgadza się, nazwisko błędne.

— Powiedziałem prawdę.

— Mylisz się pan, nazywa się Błażej Smutny.

Grot machnął obojętnie ręką:

— Być może. Dla mnie nazywa się Niedorost.

Naczelnik znów wymienił z towarzyszem znaczące spojrzenie.

— Nazwisko kierownika pociągu?

— Stanisław Mrówka.

Przesłuchujący z trudem powstrzymał wybuch wesołości:

— Mrówka, powiada pan? Mrówka?! A to dobre!

Bajeczny pan sobie jesteś! Mrówka?! No proszę kogo!

— Tak jest. Stanisław Mrówka.

— Nie, panie Grot. Kierownik pańskiego pociągu nazywa się Stanisław Żywiecki. Znów się pan pomyliłeś.

Protokolant pochylił wypomadowaną głowę ku zwierzchnikowi i szepnął na ucho:

— Panie naczelniku, ten człowiek albo pijany, albo ma tęgiego fijoła.

— Zdaje się to ostatnie — odpowiedział chrząkając urzędnik, poczem zwrócił się do winowajcy z ponownym pytaniem:

— Pan żonaty?

— Nie.

— Czy pił pan co przed wyjazdem?

— Alkoholu nie znoszę.

— Ile pan godzin w służbie?

— 16.

— Nie czujesz się pan znużony jazdą?

— Bynajmniej.

— Dlaczego pan dzisiaj cztery razy z rzędu nie zatrzymał pociągu na właściwym miejscu przed stacją?

Grot milczał. Nie mógł, nie chciał za nic w świecie tego powiedzieć.

— Czekaam na odpowiedź.

Maszynista zwiesił ponuro głowę.

Wtedy urzędnik podniósł się uroczyście od biurka i zawyrokował:

— Teraz pójdzie się pan wyspać. Zastąpi pana inny kolega. Zawieszam pana na razie w służbie; być może,

wezwie się pana z powrotem w swoim czasie, kiedyś później. Tymczasem radzę panu poddać się oględzinom lekarskim jak najrychlej. Pan jesteś poważnie chory.

Grot pobladł, zachwiał się. Historia przybrała charakter tragiczny. Z wyrazu twarzy, tonu i treści słów poznał, że go uważają tutaj za waryata. Zrozumiał, że stracił posadę, że przestał być maszynistą.

— Panie naczelniku — jęknął, załamując ręce — zdrów jestem zupełnie. Mogę dalej jechać.

— To wykluczone, panie Grot. Nie mogę panu powierzać losu kilkuset osób. Czy wiesz pan, że omal nie stałeś się dzisiaj sprawcą katastrofy? Zajechałeś za daleko, docierając do punktu, w którym miało nastąpić skrzyżowanie z osobowym z Czerniawy. Gdyby pan asystent nie był cofnął w porę pociągu, nastąpiłoby niechybne zderzenie. Sygnalizowany już pociąg nadjechał w dwie minuty potem. Pan się nie nadaje do służby, panie Grot. Trzeba się wpierw leczyć. Pozatem skończyliśmy. Proszę opuścić lokal.

Ciężkim, ołowianym krokiem wyszedł Grot z pokoju, przemierzył peron, poczekalnię i zataczając się jak pijany, powlókł się wzdłuż magazynów kolejowych.

Czaszkę rozpierał głuchy ból, w duszy łkała rozpacz. Stracił służbę.

Nie chodziło o tych marnych kilkadziesiąt sztuk monety, o posadę, o tytuł — szło o maszynę, bez której żyć już nie umiał. Chodziło o nieoceniony, jedynie dlań dostępny środek, którym mógł zmagać się z przestrzenią, pędzić w mroczniejące dale. Z utratą służby usuwał mu się grunt pod

nogami, rozwierała czarna, bezdenna otchłań bezcelowości życia.

Targany dławiącym krtań bolem minął magazyny, minął most, tunel i machinalnie wszedł na tory.

Było już daleko za stacją. Potykając się co krok o drewniane podkłady skrzyżowanych szyn, zaczepiając o zwrotnice, błąkał się Grot pomiędzy lśniącem zimno żelaziwem.

Wtem usłyszał za sobą ciężki stęk, poczuł pod nogami drżenie ziemi. Odwrócił się i spostrzegł powoli szybującą, luźną maszynę.

Objął ją wzrokiem znawcy, stwierdził zasobność jaszczyka, zauważył radośnie nieobecność palacza.

Postanowienie szybkie jak błysk, jak mgnienie oka, zakołatało w skołatany mózgu i dojrzało w momencie.

Krokiem ostrożnym, drapieźnym, krokiem czającego się lamparta podkradł się pod bok żelaznego potwora i jednym susem wskoczył na platformę.

Ruch był tak nagły i niespodziewany, że maszynista osłupiał. Grot wyzyskał chwilę. Zanim zdumiony kolega zorientował się w sytuacji, wytworzonej przez nieoczekiwanego gościa napastnik zakneblował mu chustką usta, spętał ręce na krzyżach i powaliwszy na spód maszyny, zepchnął z pomostu na ziemię.

Załatwiwszy się z tem w przeciągu kilku minut, zajął Grot przy kotle miejsce swego poprzednika.

Tytaniczna radość rozsadzała mu serce — okrzyk tryumfu rozpierał piersi. Był znów u steru!

Pocisnął kurki, siepnął parą, zatoczył młyńcem korbę.

Maszyna, jakby odczuwszy rękę mistrza, zadrżała w posadach, zaniosła się krzepkim, pożegnalnym gwizdem i ruszyła w szeroki świat.

Grot szalał z upojenia. Wyszedłszy z labiryntu szyn, wpadł na główny, mknący prosto przed siebie jak strzała tor i runął w przestrzeń!

Rozpoczął się wichrowy pęd, niekrępowany niczem, nie przerywany przystankami, nudą postojów. Grot mijał piorunem jakieś stacye, przemyczał jak demon mimo jakieś miasta, przelatywał jak huragan przez jakieś przystanie. Bez przerwy czerpał szuflą węgle, wrzucał je w palenisko; sycił ogień, zgęszczał parę. Jak opętany biegał od jaszczyka do kotła, od kotła do jaszczyka, stwierdzał stan wody w wodomiarze, badał ciśnienie pary.

Nie widział nic, nie myślał nic — upajał się tylko pędem, żył tylko wichrzycą ruchu, tonął w gigantyzmie rozmachu. Zatracił rachubę czasu, pory, godzin. Nie wiedział, jak długo już trwa piekielna jazda, czy dzień, czy dwa, czy tydzień...

Maszyna rozpętała się. Obląkane chyżością koła wykonywały nieuchwytnie, fantastycznie chybkie obroty, uznojone tłoki cofały się, to znów parły wprzód skwapliwym gestem, tłukły się opętańczo zziajane kolby. Wskazówka na manometrze szła wciąż w górę — rozżarzony do czerwoności kocioł zionął skwar, przepalał skórę, parzył dłonie. Nic to! Jeszcze! Dalej! Prędej! W cwał! W cwał!!

Nowy dorzut węgla zniknął w czeluści pieca i prysnął snopem krwawych iskier — nowa falanga pary wstrzyknęła

ognisty war w topniejące rury...

Grot wlepił przesłonięte gorączką oczy w rubinową gardziel i pił jej żar, wsysał jej krew...

Wtem... zakotłowało coś, zawyło szatańskim skowytom — rozległ się huk, jak z tysiąca armat, zaryczał grzmot, jakby stu piorunów... Wytrysnął w górę ognisty, splątany kłęb, zgmatwany słup odłamów, żelaznych skorup, pogiętych blach — prysnęła pod niebo rakietą szczątów, rozprutych przęseł, rozpękłych dzwon...

Rozdarł kiry nocy purpurowy finał Grota.



Tekst jest [własnością publiczną](#) (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Stefan Grabiński](#).

BŁĘDNY POCIĄG

LEGENDA KOLEJOWA

Na dworcu w Horsku panował gorączkowy ruch. Czas był przedświąteczny, w perspektywie parę dni wolnych od pracy, pora wymarzona. Peron mrowił się od przyjezdnych i wyjeżdżających. Migwały podniecone twarzyczki kobiet, wiły się barwne wstążki kapeluszy, pstrzyły szale podróżne; tu przeciskał się wśród tłumu smukły cylinder wytwornego pana, tam zaczerniał sutanną duchowny; ówdzie pod arkadami siniały poprzez ciżbę kolety wojskowych, obok szarzały robotnicze bluzy.

Wrzało bujne życie i ujęte w zbyt ciasne ramy dworca przelewało się z szumem poza jego brzegi. Chaotyczny gwar pasażerów, nawoływania tragarzy, gwizd świstawek, szum wypuszczonej pary zlewały się w zawrotną symfonię, w której traciło się siebie, oddawało zmaląłą, ogłuszoną jaźń na fale potężnego żywiołu, by niósł, kołysał, odurzał...

Służba pracowała intensywnie. Co chwila wynurzały się wśród zgiełku to tu, to tam czerwone kepi urzędników ruchu wydających rozkazy, usuwających z toru roztargnionych, przeprowadzających bystrem i czujnym okiem pociągi w chwili odjazdu. Konduktorzy uwijali się

bez przerwy, przebiegając nerwowym krokiem długie pierzeje wagonów — blokmistrze — piloci stacyi spełniali instrukcye krótkie a sprawne jak trąbki — hasła odlotu. Wszystko szło w tempie różnem, odmierzonym na minuty, sekundy — wszystkich oczy odruchowo kontrolowały czas na podwójnej białej tarczy zegara tam w górze.

Mimoto spokojny widz stanąwszy na uboczu, doznałby po krótkiej obserwacji sprzecznego z pozornym porządkiem rzeczy wrażenia.

Coś jakby wkradło się w unormowany przepisami i tradycją bieg czynności; jakaś nieokreślona, choć ważka zawada stanęła wpoprzek regularności uświęconej ruchu.

Znać to było w nerwowych nadzwyczaj gestach ludzi, niespokojnych rzutach oczu, wyczekującym czegoś wyrazie twarzy. Coś się popsuło we wzorowym dotąd organizmie. Jakiś niezdrowy, niesamowity prąd krążył po jego rozgałęzionych stokrotnie arteriach i przesiąkał na powierzchnię w półświadomych wyblyskach.

Gorliwość kolejarzy cechowała widoczna chęć przewyciężenia tajemnej rozterki, która wkręciła się ukradkiem w wyborny mechanizm. Każdy dwoił się i troił, by gwałtem przydusić denerwującą zmołę, utrzymać wymarzoną do automatyzmu sforność pracy, żmudną lecz bezpieczną równowagę funkcji.

Była to przecież ich dziedzina, ich „rejon“ uprawiany od wielu lat pilnej praktyki, teren, który, zdawało się, znali *par excellence* na wylot. Byli przecież przedstawicielami tej kategorii pracy, tego zakresu czynności życiowych, gdzie dla nich wtajemniczonych nic nie winno było pozostać

niejasnem, gdzie ich, reprezentantów, jedynych wykładników całej skomplikowanej sieci zajęć nie mogła, nie powinna była zaskoczyć jakakolwiek zagadka. Wszakże wszystko od lat obliczone, zważone, odmierzone — wszakże wszystko, choć złożone, nie przekraczało ludzkich pojęć — wszakże wszędzie dokładność umiaru bez niespodzianek, regularność powtarzających się zajęć, obliczonych z góry!

Poczuł się tedy niejako do solidarnej odpowiedzialności wobec zwartej masy podróżnych, którym należało zapewnić spokój i bezpieczeństwo zupełne.

Tymczasem wewnętrzna ich rozterka udzielała się publiczności i płynąc od nich falą zdenerwowania, rozwodziła się w nieokreślone prądy nurtujące pasażerów.

Gdyby przynajmniej chodziło o t. zw. „przypadek“, którego wprawdzie nie można przewidzieć, lecz który daje się potem, po momencie spełnienia wydedukować z tego, co poprzedzało — zapewne wobec przypadku, i oni, zawodowcy, stawali bezradni, choć nie zrozpaczeni. Lecz tutaj chodziło o coś zupełnie innego.

Zaszło coś nieobliczalnego jak chimera, kapryśnego jak szaleństwo i przekreśliło za jednym zamachem prastary układ zdarzeń.

Więc wstyd im było przed sobą i przed innymi poza obrębem zawodu.

W obecnej chwili szło tedy przedewszystkiem o to, by się „sprawa“ nie rozeszła, by się „szeroka publiczność“ nie dowiedziała; należało dołożyć wszelkich możliwych starań, by „dziwaczna historia“ nie nabrała rozgłosu w

dziennikach, by uniknąć za wszelką cenę „skandalu“.

Dotąd jakoś rzecz pozostała w ścisłej tajemnicy, zatrzymana cudem w wyłącznym obrębie dotyczącego środowiska. Przedziwna iście solidarność połączyła tych ludzi w wyjątkowym wypadku: milczeli. Tylko wymowne spojrzenia oczu, specjalne gesty i gra słów dobranych ułatwiały porozumienie. Dotąd „publiczność“ nie wiedziała o niczem.

Lecz już niepokój służby, nerwica funkcjonariuszy przenosiła się zwolna i na nią, przygotowując glebę podatną pod zasiew „zmowy“.

A „sprawa“ była istotnie dziwaczną i zagadkową.

Od pewnego czasu pojawił się na liniach kolei państwowych jakiś pociąg nieobjęty powszechnie znanym rejestrem, nie wciągnięty w poczet kursujących parowozów, słowem intruz bez patentu i aprobaty. Nie zdołano nawet określić, do jakiej należał kategorii i z jakiej wyszedł fabryki, gdyż momentalnie krótki przeciąg czasu, przez jaki dawał się za każdym pojawieniem obserwować, uniemożliwiał jakąkolwiek w tym względzie orientację. W każdym razie, wnosząc z nieprawdopodobnej wprost chyżości, z jaką przesuwał się przed oczyma zdumionych widzów, musiał zajmować bardzo wysoki stopień w skali pojazdów: był to pociąg conajmniej błyskawiczny.

Lecz rzeczą najbardziej niepokojącą była jego nieobliczalność. Intruz pojawiał się to tu, to tam, nadchodził nagle ni stąd, ni zowąd, skądś z odległej przestrzeni linii kolejowej, przelatywał z szatańskim szumem po torach i znikał w dali; dziś widziano go koło stacyi M., nazajutrz

wyłonił się gdzieś w czystym polu poza miastem W., w parę dni później przeszybował z osłupiającym tupetem koło budki dróżnika w okolicy przystanku G.

Zrazu myślano, że szalony pociąg należy do istniejącego etatu, i tylko opieszałość lub pomyłka urzędników ruchu nie zdołała dotąd stwierdzić jego tożsamości. Zaczęły się więc dochodzenia, sygnalizacje bez końca, wzajemne porozumiewania się stacyi — wszystko bez skutku: intruz po prostu drwił sobie z wysiłków funkcjonariuszy, wynurzając się zwykle tam, gdzie go się najmniej spodziewano.

Szczególnie przygnębiająco działała okoliczność, że nigdzie go nie można było przyłapać, nigdzie dopaść ni zatrzymać. Urządzony kilkakrotnie w tym celu pościg na jednej z najwyborniejszych maszyn, uznanej w całym tego słowa znaczeniu za ostatni wyraz współczesnej techniki, zrobił ohydne fiasko; niesamowity pociąg wziął rekord bez zajknięcia.

Wtedy zaczęła ludzi ogarniać przesądna obawa i głucha, tłumiona strachem wściekłość. Rzecz bowiem istotnie niesłychana! Od lat szeregu kursowały wozy według wytkniętego z góry planu, który układano w dyrekcyach, zatwierdzano w ministeriach, realizowano w ruchu — od lat wszystko można było obliczyć, mniejwięcej przewidzieć, a gdy zaszła jakaś „pomyłka“ lub „przeoczenie“, te naprawić, logicznie wytłómaczyć — aż tu nagle nieproszony gość wślizguje się na tory, psuje porządek, wywraca na nice regulamin, wnosi w zgrany organizm zaczyn nieładu i rozstroju!

Całe szczęście, że dotąd natręt nie spowodował żadnej katastrofy. Był to wogóle szczegół, który zastanawiał od samego początku. Zawsze jakaś przestrzeń, na której się wynurzał, była w danej chwili wolną; szalenciec dotąd nie wywołał zderzenia. Lecz mogło to nastąpić lada dzień, tem bardziej, że zwolna zaczął zdradzać w tym kierunku pewną inklinację. Po jakimś czasie skonstatowano z przerażeniem w jego ruchach pewną dążność do wejścia w bliższy kontakt z regularnie kursującymi towarzyszami. O ile zrazu zdawał się unikać blizkiego ich sąsiedztwa, pojawiając się zawsze w znacznej odległości za lub przed, obecnie wyrastał na szynach po upływie coraz to krótszych odstępów czasu za plecyma poprzedników. Raz już przemknął obok ekspresu w drodze do O., tydzień temu ledwo wyminął osobowy na przestrzeni między S. a F., onegdaj cudem tylko skrzyżował się szczęśliwie z pospiesznym z W.

Drżeli naczelnicy stacyi na wiadomość o tych wyjątkowych wyminięciach, które należało zawdzięczać li tylko podwójnej wstędze torów i przytomności maszynistów. Podobnie „cudowne ocalenia“ zaczęły w ostatnich czasach zdarzać się coraz częściej, przyczem szanse szczęśliwego wyjścia ze spotkania widocznie malały z dniem każdym.

Intruz z roli ściganego przeszedł w czynną, pchany jakby magnetycznym popędem do tego, co regularne i w normę ujęte, zaczął grozić bezpośrednią destrukcją starego spraw porządku. Historia mogła lada dzień skończyć się tragicznie.

To też i kierownik ruchu w Horsku od miesiąca wiódł życie nad wyraz przykre. W ciągłej obawie przed niepożądaną wizytą, czuwał prawie bez przerwy, nie opuszczając dniem i nocą posterunku, który mu powierzono niespełna od roku w dowód uznania „jego energii i niezwyklej sprężystości“. A placówka była ważna, bo na stacyi w Horsku przecinało się parę zasadniczych linii kolejowych i ogniskował ruch całej połaci kraju.

Dziś zwłaszcza, wobec niebywałego napływu gości, praca w podobnie naprężonej sytuacji była nader uciążliwa.

Zapadał powoli wieczór. Rozbłysły światła lamp elektrycznych, rzuciły potężne swe projekcje reflektory. W zielonych ogniach zwrotnic szyny lśnić poczęły ponurometalicznym połyskiem, giąć się zimnemi wstęgami żelaznych węży. Gdzieniegdzie w pomroce zapełgotał nikły kaganek konduktora, błysnął sygnał droźnika. W dali, hen, hen za dworcem, tam gdzie już gasną szmaragdowe oczy latarni, kreślił nocne swe znaki stacyjny semafor.

Oto właśnie wychodząc z poziomu, zatoczył kąt 45° i ustawił się w linii ukośnej: szedł pociąg osobowy z Brzeska.

Już słyhać zdyszany oddech lokomotywy, miarowy gruchot kół, już widać jasnożółte okulary na przedzie. Wtoczył się na stację...

Z otwartych okien wychylają się złote loki dzieci, ciekawe twarze kobiet, powiewają przywitalne chusty...

Ława czekających na peronie posuwa się gwałtownie ku wagonom, wyciągnięte ramiona dążą obustronnie ku spotkaniu...

Co to za hałas tam z prawej?! Przerażliwe gwizdy świstawek rozdzierają powietrze. Naczelnik krzyczy coś ochrypłym, dzikim głosem.

— Precz! Cofnąć się, uciekajcie! Puść kontrparę! Wstecz! Wstecz!... Nieszczęście!!

Tłum rzuca się zwartym naporem ku balaskom i łamie je... Obląkane oczy instynktownie patrzą w prawo, gdzie służba wyległa i widzą spazmatyczne, bezcelowo wściekłe wibracje latarek usiłujących zawrócić pociąg jakiś, który całym rozmachem najeżdża z przeciwnej strony torem zajęтым przez osobowy z Brzeska. Wichurę gwizdów przeryniają rozpaczliwe odzwy trąbek i piekielna wrzawa ludzi. Nadaremnie! Nieoczekiwany parowóz zbliża się z zawrotną chyżością; olbrzymie, zielone ślepie maszyny roztrącają ciemność upiornym spojrzeniem, potężne tłoki obracają się z bajeczną, opetaną sprawnością...

Z tysiąca piersi wyrywa się okropną trwogą, bezdenną paniką nabrzmiały okrzyk:

— To on! Obląkany pociąg! Szaleniec! Na ziemię! Ratunku! Na ziemię! Giniemy! Ratunku! Giniemy!

Jakaś gigantyczna, szara masa przelatuje nad pokotem ciał, popielata, mglista masa z wykrojami okien na przestrzał — czuć wicher szatańskiego przeciągu, wiejący z tych otwartych nor, słycać łopot rozwianych szaleńczo żaluzji, znać widmowe twarze pasażerów...

Wtem dzieje się coś dziwnego. Obląkany pociąg zamiast zdruzgotać osiągniętego już drapieźnie towarzysza, przechodzi przezeń jak mgłą; przez chwilę widać, jak przesuwają się przez siebie dwie pierzeje wozów, ocierają

bezglśnie ściany wagonów, przenikają w paradoksalnej osmozie tryby i osie kół — jeszcze sekunda i intruz przesiąklszy z błyskawiczną furją przez stały organizm pociągu, zczcza i rozwiewa się po drugiej stronie gdzieś w polu. Ucichło...

Na torze przed stacją stoi spokojnie nienaruszony osobowy z Brzeska. Wkoło cisza bez kresu, bez dna. Tylko od łąk, tam w dali idzie zciszony poświerk koników, tylko po drutach, tam w górze płynie mrukliwa gawęda telegrafu...

Ludzie z peronu, służba, urzędnicy przecierają ze snu oczy i spoglądają po sobie zdumieni:

Prawdali to, czy zły majak?

Powoli wszystkich spojrzenia, wiedzione wspólnym impulsem, skupiają się na pociągu z Brzeska. — Stoi wciąż głuchy i milczący. Tylko wewnątrz zapalone lampy płoną równem, spokojnem światłem, tylko w otwartych oknach igra lekko wietrzyk firankami...

We wozach grobowa cisza; nikt nie wysiada, nikt nie wychyla się z wnętrza. Przez oświetlone czworokąty okien widać pasażerów: mężczyzn, kobiety i dzieci; wszyscy cali, nieuszkodzeni — nikt nie doznał najlżejszej kontuzyi. Lecz stan ich dziwnie zagadkowy...

Wszyscy w postawie stojącej, twarzami w kierunku, gdzie zniknął upiorny parowóz; jakaś siła okropna zakłęła tych ludzi w jedną stronę i trzyma w niemem osłupieniu; jakiś prąd silny przeorał zbiorowisko dusz i spolaryzował na jedną modłę; wyciągnięte naprzód ręce wskazują cel jakiś nieznan, cel pewnie daleki — podane przed się ciała,

pochylone torsy w dal dążą, w zawrotną, w odległą gdzieś, mglistą krainę — a oczy... zeszkłone opętańczą trwogą i... z a c h w y t e m oczy toną w przestrzeni bez krańców...

Tak stoją i milczą; muskuł nie zadrgnie, nie spadnie powieka. Tak stoją i milczą...

Bo przeszedł przez nich powiew przedziwny, bo tknęło ich wielkie ocknienie, bo byli to już ludzie... o b ł ą k a n i...

Wtem zabrzmiały dźwięki mocne i znane, w codzienność bezpieczną spowite — udary jędrne jak serce, gdy o pierś zdrową łomoce — miarowe dźwięki nawyku, od lat to samo głośnie...

— Bim-bam... i przerwa — bim-bam... bim-bam... Sygnały szły...



Tekst jest [własnością publiczną \(public domain\)](#). Szczegóły licencji na stronie autora: [Stefan Grabiński](#).

DEMON RUCHU

Błyskawiczny „Continental“ w drodze z Paryża do Madrytu pędził co sił w tłokach. Pora była już późna, śródnocna, czas słotny, deszczowy. Mokre bicze dżdżu chłostały oświetlone jasno szyby i rozbryzgiwały się na szkłe w łzawe rózańce kropel. Skapane w ulewie kadłuby wagonów połyskiwały pod światło przydrożnych latarni, niby wilgne pancerze, wyrzygiwały rynnami pluszczącą wodę. Od czarnych ich ciał szedł w przestrzeń głuchy postępek, zmieszany rozhovor kół, potracających się zderzaków, tratowanych bez litości szyn. Zapamiętały w obiegu łańcuch wozów budził w ciszy nocy uśpione echa, wywabiał zamarłe po lasach głosy, cucił drzemiące stawy. Podnosiły się jakieś ciężkie, senne powieki, otwierały w przerażeniu jakieś duże oczy i tak trwały w momentalnym wylęku. A pociąg mknął dalej w wichurze wiatru, w tańcu jesiennym liści, wlokąc za sobą wydłużoną tuleję wirów wstrząśniętego powietrza, leniwo wieszających się na tyłach dymów, kopcium i sadzy, pędził dalej bez tchu, rzucając poza siebie krwawe wspomnienie iskier i węglowych odmiotów...

W jednym z przedziałów klasy pierwszej wciśnięty w kąt między ścianą wozu a poduszką oparcia, drzemał mężczyzna przeszło czterdziestoletni, o silnej, herkulicznej niemal budowie ciała. Stłumione światło lampy, przecedzające się z trudem przez zaciągnięty ciemnik oświecało twarz starannie ogoloną, podłużną, z grymasem zaciętości wkoło wąskich ust.

Był sam; nikt nie przerywał sennego dumania. Ciszę zamkniętego wnętrza przekreślał chyba tylko stukot kół pod podłogą lub pełgotanie gazu w palniku. Czerwony kolor pluszowych poduszek rozpylał wkoło duszny, parny ton, który działał nasennie, jak narkoza. Miękki, ustępliwy pod palcami meszek materji zciszał odgłosy, głośzył gruchot szyn, ugiął się posłuszną falą pod naciskiem ciężaru. Przedział zdawał się pogrążony w głębokim uśpieniu: drzemały zasunięte na kółkach firanki, wahały się sennym ruchem zielone siatki, rozpięte pod powałą. Ukołysany miarowym ruchem wagonu podróżny, przechylił znużoną głowę na wezgłowie i śnił. Wypuszczona z rąk książka ześliznęła się z kolan i upadła na podłogę; na oprawce z delikatnej, ciemno-szafranowej skórki widniał tytuł: „Wichrowate linie“ — obok wybite pieczęcią nazwisko właściciela: Tadeusz Szygoń...

W jakiejś chwili śpiący poruszył się niespokojnie, otworzył oczy i powiódł niemi po otoczeniu; na moment odbił się na twarzy wyraz zdumienia i wysiłek orientacyi; podróżny jakby nie mógł zrozumieć, gdzie i dlaczego się tu znalazł. Lecz już zawitał na wargi uśmiech pobłażliwej rezygnacyi; mocna, nerwista ręka podniosła się gestem

nakazującym zaniechanie, kurczowy grymas ust przeszedł w znak zniechęcenia i lekceważącej pogardy. Zapadł z powrotem w stan półsenny...

Na korytarzu wagonu ozwały się czyjeś kroki; szarpnięte drzwi odsunęły się i do przedziału wszedł konduktor:

— Proszę o bilet.

Szygon nie drgnął, nie dał znaku życia. Funkcjonariusz sądząc, że śpi, przystąpił i ujął go za ramię:

— Przepraszam pana — proszę o bilet.

Podróżny spojrział błędnie na intruza:

— Bilet? — ziewnął niedbale. — Nie mam go jeszcze.

— Dlaczego pan nie kupił na stacyi?

— Nie wiem.

— Zapłaci pan zato karę.

— Ka-arę? Tak — dorzucił sennie — zapłacę.

— Skąd pan jedzie? Z Paryża?

— Nie wiem.

Konduktor oburzył się:

— Jakto nie wie pan? Łaskawy pan kpi sobie ze mnie. Któż ma wiedzieć?

— Mniejsza o to. Przypuśćmy, że wsiadłem w Paryżu.

— Dokąd mam zatem wystawić bilet?

— Jak najdalej.

Konduktor popatrzył uważnie na pasażera:

— Mogę panu dać bilet tylko do Madrytu; tam może pan przesiąść w dowolnym kierunku.

— Wszystko jedno — machnął obojętnie ręką. — Byle tylko jechać.

— Bilet wręcę panu dopiero później. Muszę go wpierw

wystawić i obliczyć cenę wraz z karą.

— Dobrze, dobrze.

Uwagę Szygonia przykuły od chwili wyłogi kołnierza z odznakami kolejowemi: para strzępiastych skrzydełek, wplecionych w koło. Gdy konduktor uśmiechnięty ironicznie zabierał się już do wyjścia, nagle Szygoniowi wydało się, że twarz tę, wykrzywioną podobnym grymasem, już widział parę razy. Jakaś pasya poderwała go z miejsca i na odchodnym rzucił mu przestrogę:

— Panie skrzydlaty, uważaj na przeciąg!

— Proszę być spokojnym, zamykam drzwi.

— Uważaj pan na przeciąg — powtórzył uparcie — można czasem kark skrócić.

Funkcjonaryusz był już na korytarzu:

— Waryat lub pijany — zauważył półgłosem i przeszedł do sąsiedniego wozu.

Szygoń pozostał sam...

Był w stadyum jednej ze swych słynnych „ucieczek“. Pewnego dnia, ni stąd ni zowąd znachodził się ten dziwny człowiek o kilkaset mil od rodzinnej Warszawy, gdzieś na drugim krańcu Europy, w Paryżu, w Londynie lub w jakiejś trzeciorzędnej mieścinie we Włoszech — budził się ku niezmiernemu swemu zdziwieniu w jakimś nieznanym hotelu, który oglądał po raz pierwszy w życiu. W jaki sposób dostawał się niespodzianie w obce sobie środowisko, nie umiał nigdy w takich razach wytłómaczyć. Wypytywana o to służba hotelowa, mierzyła zwykle wysokiego jegomościa w żółtym płaszczu ciekawem, czasem ironicznym spojrzeniem i informowała go o

oczywistym stanie rzeczy; oto przybył wczoraj wieczornym lub rannym pociągiem, zjadł kolację i zażądał pokoju. Raz jakiś dowcipny famulus zapytał go, czy też przypadkiem ma mu przypomnieć, pod jakim nazwiskiem zawitał. Złośliwe pytanie było zresztą całkiem uzasadnione: człowiek, który zapomniał, co się z nim działo dnia poprzedniego, może też nie wiedzieć, jak się nazywa. W każdym razie był w tych improwizowanych jazdach Tadeusza Szygonia pewien rys tajemniczy i niewyjaśniony; ich bezcelowość, zupełna niepamięć zdarzeń ubiegłych, dziwna amnezja obejmująca wszystko, cokolwiek się stało od chwili wyjazdu aż do momentu przybycia w nieznaną stronę świadczyły wymownie, że zjawisko było conajmniej zagadkowe.

Nie ulega wątpliwości, że przez cały przeciąg podróży musiał Szygoń znajdować się w stanie patologicznym, prawdopodobnie półświadomym, a stąd niezupełnie poczytalnym. Po powrocie z każdej takiej awanturniczej wyprawy wszystko szło znów normalnym trybem — odwiedzał, jak dawniej, gorliwie kasyno, zgrywał się w bridge'a i robił słynne swoje zakłady podczas wyścigów konnych. Wszystko było po dawnemu zwyczajne, codzienne i przeciętne...

Nagle pewnego poranku Szygoń zniknął i przepadał znowu bez śladu...

Przyczyna owych ucieczek pozostała nigdy niewyjaśnioną. Zdaniem niektórych, źródła należało szukać w żywiole atawistycznym, tkwiącym w naturze oryginała; w żyłach Szygonia płynęła podobno krew cygańska.

Odziedziczył, zdaje się, po bujnych swych, wędrownych przodkach tęsknotę wieczystej włóczęgi, głodną wrażeń żądę królów gościńca. Jako objaw wypływający wprost z tego „nomadyzmu“ przytaczano fakt, że Szygoń nigdy nie mógł wytrzymać dłużej na jednym miejscu, lecz ciągle zmieniał mieszkanie, przeprowadzając się z jednej dzielnicy w drugą. Jakiegokolwiek pobudki skłaniały dziwaka do romantycznych podróży bez określonego wyraźnie celu — on sam z pewnością nie pochwalał ich *ex post* po powrocie. W jakiś czas po tajemniczym zniknięciu wracał równie niespodzianie zły, wyczerpany i ponury. Przez parę następných dni zamykał się w domu, unikając widocznie ludzi, przed którymi odczuwał wstyd i zakłopotanie.

Najciekawszym z wszystkiego był zapewne stan Szygonia w ciągu „ucieczki“ — stan niemal zupełnego zautomatyzowania z przewagą elementów podświadomych.

Jakaś ciemna moc wyrywała go z domu, pędziła na dworzec, pchała do wagonu — jakiś nieprzewyciężony nakaz zmuszał do porzucenia nieraz wśród głębokiej nocy wygodnego pośłania, wiódł jak skazańca przez labirynt ulic, usuwając z drogi tysiące przeszkód, wsadzał do przedziału i wysyłał w szeroki świat. Następowwała jazda przed siebie, po omacku, na chybił trafił, jakieś przestanki, przesiadania w nieokreślonym kierunku, a wreszcie postój w jakimś mieście, miéscinie lub wiosce, w jakimś kraju, pod jakimś niebem, niewiadomo, dlaczego tu właśnie, nie gdzieindziej — i wreszcie owo fatalne przebudzenie w obcej, dziko cudzej okolicy...

Szygoń nigdy nie przyjeżdżał na to samo miejsce: zawsze

wyrzucał go pociąg gdzieindziej. Nigdy nie „przebudzał się“, t. j. nie uświadamiał sobie bezcelowości tego, co czyni, w czasie jazdy — pełnia władz psychicznych powracała dopiero po definitywnym opuszczeniu pociągu, i to zwykle po głębokim, pokrzepiającym śnie w przydrożnym zajeździe lub gospodzie...

I w obecnej chwili był w stanie jakby zbliżonym do transu. Pociąg, który go wiozł wyjechał wczoraj nad ranem z Paryża. Czy wsiadł doń w stolicy Francji, czy też na jakiejś stacyi po drodze — nie wiedział. Wyjechał skądś i zdążył dokądś — oto wszystko, co można było w tej sprawie powiedzieć...

Poprawił się na poduszkach, wyciągnął nogi przed siebie i zapalił cygaro. Miał uczucie niesmaku, niemal wstrętu. Podobnych wrażeń doznawał zawsze na widok konduktora lub wogóle któregoś z kolejarzy. Ci ludzie stali się symbolem pewnych braków czy niedoborów, ucieleśnieniem niedoskonałości, jakie widział w ustroju pociągu i ruchu kolejowym. Szygoń rozumiał, że swoje wyjątkowe rekordy odbywał pod wpływem sił kosmicznych, żywiołowych, dla których realizacja we formie jazdy kolejowej była dziecinnym kompromisem, wywołanym przez warunki terenu i ziemskiego środowiska. Zdawał sobie aż nadto dokładnie sprawę, że gdyby nie ta smutna okoliczność, iż jest przykuty do ziemi i jej praw, wędrówki jego przybrałyby postać bez porównania bujniejszą i piękniejszą, porzucając utarty szablon i metodę.

A właśnie pociąg, kolej i jej funkcjonariusze uosabiali dlań tę ciasną formułę, to błędne koło bez wyjścia, z

którego on człowiek, biedny syn ziemi naprózno by usiłował się wyłamać.

Dlatego pogardzał tymi ludźmi, czasem nienawidził ich nawet. Ta niechęć do „pachołków oktrojowanej swobody wędrowania“, jak ich z przekąsem nazywał, wzrastała w miarę powtarzania się fantastycznych „ucieczek“, których się wstydził nie tyle z powodu ich bezcelowości, ile raczej dlatego, że były zakrojone na tak nędzną skalę.

Podniecały to uczucie drobne zajścia i zatargi z władzami kolejowymi, nieuniknione ze względu na anormalny stan podróżnika. Na niektórych liniach służba zdawała się znać go już dobrze i nieraz podchwytował w przelocie ironiczny uśmiech tragarza, konduktora lub urzędnika ruchu.

Funkcjonariusz obsługujący wóz, którym obecnie jechał, wydał mu się szczególnie znajomy — już nieraz przesunęła mu się przed roztargnionymi, zaskuchanymi w przestrzeń oczyma ta chuderława, ospowata twarz, rozjaśniająca się drwiącym uśmieszkiem na jego widok. Tak mu się przynajmniej zdawało...

Zwłaszcza irytowały Szygonia kolejowe anonse, reklamy i mundury. Jakże śmiesznym był patos porozwieszanych po poczekalniach alegoryi ruchu, jakże pretensjonalnym szeroki gest geniuszków pędu!

Lecz najkomiczniejsze wrażenie sprawiały owe skrzydlate koła na czapkach i wyłogach urzędników. To mi dopiero rozmach, co się zowie! To mi fantazyja!

Szygoniowi na widok tych odznak przychodziła nieraz szalona ochota zedrzyć je i zastąpić wizerunkiem psa,

kręcącego się za własnym ogonem...

Cygaro żarzyło się powoli, rozpylając po przedziale obłoczek sinawego dymu. Zwolna ujmujące je palce rozkurczyły się leniwo i wonne tabaco potoczyło się pod kanapkę, pryskając rakieta drobnych iskier: palacz zadrzemał...

Puszczona świeżo w rury gorąca para zasepleniła cicho pod nogami i rozlała po coupé miłe, pokojowe ciepło. Jakiś komar spóźniony zanucił nikłą piosenkę, zatoczył parę nerwowych kręgów i skrył się w ciemny zaułek między wypuklinami pluszu. I znów tylko cichy pełgot palnika i miarowy łomot kół...

O jakiejś godzinie Szygoń przebudził się. Potarł czoło, zmienił senną pozycję i spojrzał przytomnie po wagonie. Ku niemiłemu zdumieniu zauważył, że nie jest sam: miał towarzysza podróży. Naprzeciw, rozpostarty wygodnie na poduszkach, siedział jakiś urzędnik kolejowy i ćmił papierosa, puszczając impertynencko dym w jego stronę. Z pod rozpiętej lekceważąco bluzy służbowej wyglądała aksamitna kamizelka, zupełnie jak u pewnego naczelnika stacji, z którym Szygoń miał raz piekielną awanturę. Natomiast pod sztywnym kołnierzem z trzema gwiazdkami i parą skrzydlatych kółek, owijała szyję czerwona jak krew chusta, zupełnie jak u beczelnego konduktora, który drażnił go swym uśmieszkiem.

— Co u licha?! — pomyślał, przypatrując się uważnie fizyognomii intruza. — Ależ to jest najwyraźniej obmierzła twarz konduktora! Tesame zapadłe policzki głodomora, tesame ślady po przebytej ospie. Ale skąd znów ta ranga i

mundur naczelnika?

Tymczasem „intruz“ znać zauważył zainteresowanie współpasażera; wypuścił trąbkę dymu i strzepując lekko popiół z rękawa, przyłożył rękę do daszka czapki i pozdrowił ze słodziutkim uśmiechem:

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór — odpowiedział sucho.

— Łaskawy pan z daleka?

— Nie jestem w tej chwili nastrojony towarzysko. Wogóle lubię podróżować w milczeniu. Dlatego zwykle obieram samotny przedział i płacę za to gruby napiwek.

Niezrażony szorstką odprawą kolejarz uśmiechnął się błogo i ciągnął dalej z niewzruszonym spokojem:

— Nic nie szkodzi. Powoli nabierze łaskawy pan rozmachu. Kwestya wprawy i nawyku. Samotność wiadomo jest złym towarzyszem. Człowiek jest bydłciem społecznym — dzoon politikon — czyż nieprawda?

— Jeśli pan zalicza się dobrowolnie do kategorii bydlatek — nie mam osobiście nic przeciwko temu. Ja jestem tylko człowiekiem.

— All right! — zaopiniował urzędnik. — A widzi łaskawy pan, jak mu się język rozwiązał. Nie jest tak źle, jakby się napozór zdawało. Owszem, posiada pan duży talent konwersacyjny, zwłaszcza w kierunku parowania pytań. Pomału wyrobimy się. No, no — pójdzie jakoś, pójdzie... — dorzucił protekcyjnalnie.

Szygoń zmrużył podejrzliwie oczy i poprzez szpary między powiekami studyował natręta.

— O ile się nie mylę, jesteśmy starzy znajomi.

Widywaliśmy się już parę razy w życiu — po chwili milczenia nawiązał rozmowę niezmordowany kolejarz.

Opór Szygonia powoli topniał. Bezcelność tego człowieka, który pozwalał się znieważać bezkarnie bez powodu, rozbijała. Zrodziła się ciekawość poznania, z kim się właściwie miało do czynienia.

— Możliwe — odchrząknął. — Tylko zdaje mi się, nosił pan do niedawna jeszcze inny mundur.

W postaci kolejarza zaszła w tej chwili zagadkowa metamorfoza. Momentalnie zniknęła gdzieś urzędnicza bluza ze świecącymi złotym szychem gwiazdkami, zniknęła czerwona czapka ruchu i zamiast uprzejmie uśmiechniętego „naczelnika“ siedział naprzeciw zgarbiony, wymięty i szyderski konduktor wagonu w wytartym płaszczu, z nieodstępnym bukietem latarki, przypiętym do piersi.

Szygoń przetarł oczy, mimowoli czyniąc gest odpychający:

— Przemienienie Pańskie? Tfy! Czary czy dyasek?!

Lecz już pochylał się ku niemu z przeciwnej strony uprzejmy „naczelnik“, zbrojny we wszystkie oznaki swego urzędu:

Konduktor wśliznął się gdzieś bez śladu pod mundur przełożonego.

— Ach, tak — mówił swobodnie, jak gdyby nigdy nic — awansowałem.

— Gratuluję — bąknął Szygoń, wpatrzony osłupiałym wzrokiem w transformistę.

— Tak, tak — gawędził tamten — tam „w górze“ umiemy cenić energię i sprężystość. Poznali się na człowieku:

zostałem naczelnikiem. Kolejka, panie łaskawy, wielka rzecz. Warto służyć i wyładowywać siłę. Czynniki cywilizacyjny! Lotna pośredniczka narodów, wymiany kultur! Pęd, panie kochany, pęd i ruch!

Szygoń wydał pogardliwie wargi.

— Pan naczelnik — podkreślił z przekąsem — żartuje. Co za ruch? W dzisiejszych warunkach, przy udoskonalonej technice bierze pierwszorzędny parowóz t. zw. Express-Pacifique w Ameryce 200 km na godzinę; — przyjmijmy z biegiem czasu, w miarę dalszych postępów 250 km, choćby 300 km — cóż stąd?

Patrzmy na efekt końcowy; mimo wszystko nie wychylamy się ani na milimeter poza obręb ziemi.

Naczelnik uśmiechał się nieprzekonany:

— Czegoż pan chce więcej? Piękna chyżość! 200 km na godzinę! Niech żyje kolej!

— Pan oszalał? — zapytał wściekły już Szygoń.

— Bynajmniej. Wzniosłem tylko okrzyk na cześć naszej skrzydlatej patronki. Coż łaskawy pan może jej przeciwstawić?

— Choćbyście osiągnęli rekord 400 km na godzinę — czem to wszystko wobec wielkiego ruchu?

— Ile? — intruz nastawił uszu. — Niedobrze zrozumiałem. Wielki ruch?

— Czem są wasze jazdy choćby z największą przypuszczalnie chyżością, choćby na najdalej rozpiętych liniach wobec wielkiego ruchu i wobec faktu, że ostatecznie mimo wszystko zostajecie na ziemi. Choćbyście wynaleźli pociąg piekielny, któryby w jednej godzinie

objechał całą kulę ziemską, ostatecznie wróćcie do punktu, z którego wyjechał: jesteście przykuci do ziemi.

— He, he! — szydził kolejarz — kochany pan zapewne poeta. Wolne żarty.

— W czym wpłynie choćby zawrotna, bajeczna chyżość ziemskiego pociągu na wielki ruch i na jego efekt?

— He, he, he! — beczał rozbawiony naczelnik.

— W niczem! — krzyknął Szygoń. — Ani o cal nie zmieni jego wielkiej drogi, ani na milimeter nie przesunie jego kosmicznych szlaków. Jedziemy na toczącej się w przestrzeni kuli.

— Jak mucha na gumowym baloniku. Che, che, che! Co za myśli, co za koncepty! Z kochanego pana pierwszorzędnego causeur-humorysta.

— Pański nędzny pociąg, pańska mrówcza, chuderława kolej w swym największym, najśmielszym, jak się panu podobało nazwać „pędzie“ podlega — uważa pan — wyraźnie podkreślam — dosłownie „podlega“ równocześnie dwudziestu blisko najrozmaitszym ruchom, z których każdy w swym efekcie jest bez porównania silniejszy, bezwzględnie mocniejszy od jej miniaturowego rozmachu.

— Hm... zajmujące, arcyciekawe! — drwił nieubłagany przeciwnik. — 20 blisko ruchów! Pi, pi — pokaźna liczba.

— Pomijam już uboczne, o których się zapewne żadnemu kolejarzowi nie śniło, a przypomnę zasadnicze, podstawowe, znane każdemu uczniakowi. — Pociąg, pędzący z największą furją z A. do B. musi równocześnie z

ziemią odbyć pełny ruch obrotowy z zachodu na wschód około jej osi, w przeciągu jednej doby...

— He, he, he! Nowiny, nowiny...

— Równocześnie wiruje wraz z całym globem dookoła słońca...

— Jak ćma dookoła lampy...

— Oszczędź mi pan swych dowcipów! Nie ciekawe. — Lecz na tem nie koniec. Wraz z ziemią i słońcem dąży po linii eliptycznej ku jakiemuś nieznanemu punktowi w przestworzach, znajdującemu się w stronie konstelacyi Herkulesa, względnie Centaura.

— Filologia na usługach astronomii. Parbleu! Tęgo!

— Głupiś, mój kochany! Przejdźmy do ruchów ubocznych. Słyszałeś coś kiedyś o ruchu precesyjnym ziemi?

— Może i słyszałem. Lecz cóż nas to wszystko obchodzi? Niech żyje ruch kolejowy!

Szygoń wpadł w pasyę. Podniósł ciężką swą jak młot rękę i spuścił gwałtownie na głowę kpiarza. Lecz ramię przecięło tylko powietrze: intruz zczezł gdzieś jak kamfora; miejsce naprzeciw nagle opustoszało.

— Che, che, che! — zaregotało coś w drugim kącie przedziału.

Szygoń odwrócił się i spostrzegł „naczelnika“ siedzącego w kuczki między oparciem a siatką; skurczył się jakoś ogromnie i wyglądał na karzełka.

— Che, che, che! A co? Będziemy grzeczni na przyszłość? Chcesz ze mną dalej gadać, to zachowuj się przyzwoicie. Inaczej nie zleżę. Pięść, mój kochany, to za

ordynarny argument.

— Dla tępych osobników jedyny; innymi nie przekonasz.

— Słuchałem — cedził tamten, wracając na dawne miejsce — słuchałem cierpliwie przez kwandrans z górą pańskich utopijnych wywodów; posłuchajże teraz trochę i mnie.

— Utopijnych?! — zawarczał Szygoń. — Wymienione przezemnie ruchy są więc fikcją?

— Nie zaprzeczam ich istnieniu. Lecz cóż mnie one obchodzić mogą? Liczę się tylko z chyżością mojego pociągu. Dla mnie miarodajnym jest tylko ruch parowozu. Co mnie to może obchodzić, o jaki kawałek naprzód posunąłem się równocześnie w przestworzach międzygwiazdnych? Należy być praktycznym; jestem pozytywistą, mój panie.

— Argumentacya godna stołowej nogi. Musisz mieć sen zdrowy, panie naczelniku?

— Dziękuję, owszem. Pan Bóg łaskaw — sypiam jak suseł.

— Naturalnie. Łatwo było się domyślić. Takich jak ty, nie dręczy demon ruchu.

— Che, che, che! Demon ruchu! Otóż i wpadliśmy w sedno sprawy! Potrafiłeś o mój rentowny pomysł — właściwie, prawdę mówiąc — nie mój, tylko zamówiony przezemnie u pewnego malarza dla naszej stacyi.

— Rentowny pomysł? Zamówiony?

— No tak — chodzi o świeżo wydany prospekt na parę świeżo zbudowanych odnóg kolejowych — t. zw.

Vergnügungsbahnlilien. Uważasz — rodzaj reklamy czy anonsu, któryby zachęcił publikę do używania tych nowych dróg komunikacyjnych. Otóż potrzebna była jakaś winieta, jakiś bohomasz, niby alegorya, niby symbol.

— Ruchu?! Szygoń pobladał.

— Właśnie. Owóż wspomniany pan wymalował bajeczną figurę — imponujący symbol, który w mig rozchwytały mi poczekalnie wszystkich stacyi nie tylko w kraju, lecz i za granicą. A że postarałem się o patent i prawa niby-autorskie zastrzegłem sobie z góry, więc zarobiło się nieźle.

Szygoń dźwignął się z poduszek i wyprostował w całej swej imponującej wysokości.

— A w jakąż postać, jeśli wolno wiedzieć, przyoblekliście wasz symbol? — zasyczał zdławionym, nieswoim głosem.

— Che, che, che! W postać geniusza ruchu. Olbrzymi, śniady młodzieniec, ważący się na kruczych, potwornie rozpiętych skrzydłach, opasany wirami kręcących się w opętańczym tańcu światów — demon międzyplanetarnej wichury, śródgwiezdnej zamieci księżyców, cudnej, obłąkanej gonitwy komet bezliku, bezliku...

— Łżesz! — ryknął, rzucając się ku niemu Szygoń.

— Łżesz jak pies.

„Naczelnik“ zwinął się w trąbkę, zdrobniał jakoś, zmałał i wsiąknął w dziurkę od klucza. Lecz niemal w tejże chwili odsunęły się drzwi przedziału i znikający natręt złał się z postacią konduktora, który ukazał się w progu. Funkcjonaryusz zmierzył złośliwym spojrzeniem

wzburzonego pasażera i podawał mu bilet:

— Proszę, bilet już gotowy; cena wraz z karą 200 franków.

Lecz uśmiech przyniósł mu zgubę. Zanim zdołał zorientować się, jakieś ramię mocne jak przeznaczenie chwyciło go za pierś i wciągnęło do wnętrza. Rozległ się rozpaczliwy krzyk o pomoc, potem trzask kruszonej kości i zapadła głucha cisza.

Po chwili duży cień przesunął się po oknach samotnego korytarza — przemknął między ścianą wozu a przedziałami i zniknął u wylotu wagonu. Ktoś otworzył drzwi na platformę i szarpnął sygnał alarmowy. Pociąg zaczął raptownie zwalniać...

Ciemna postać zbiegła po schodach, pochyliła się w kierunku ruchu i jednym susem runęła między modrzejące w świetle brzasku przydrożne zarośla...

Pociąg stanął. Zaniepokojona służba długo szukała sprawcy alarmu; nie wiadano, z którego wagonu wyszedł sygnał. Wreszcie konduktorzy zauważyli brak jednego z kolegów.

— Wóz Nr. 532! — Wpadli na korytarz, zaczęli przeszukiwać klasy. Zastali puste. Nakoniec w przedziale pierwszym na kraju znaleźli zwłoki nieszczęśliwej ofiary. Jakaś tytaniczna siła wykręciła mu głowę w tak piekielny sposób, że oczyma wyszłemi z orbit spoglądał na własne plecy. W ściętych białkach zagrało poranne słońce okrutnym uśmiechem...



Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Stefan Grabiński](#).

S M O L U C H

Starszy konduktor, Błażek Boroń, oszczędzając powierzone swej opiece wagony, wrócił do zakątka oddanego jego wyłącznej dyspozycji, t. zw. „miejsca przeznaczonego dla konduktora“.

Znużony całodzienną włączką po wozach, zachrypły od wywoływania stacyi w jesienną, mgłą napęczniałą porę, zamierzał odpocząć trochę na wąskim, ceratą obitem krzeselku; uśmiechała mu się godnie zasłużona siesta. Dzisiejsza tura właściwie skończyła się; pociąg przebył już strefę gęsto w bliskich odstępach rozmieszczonych przestanków i wyciągniętym kłusem zmierzał do stacyi kresowej. Aż do końca jazdy nie będzie już Boroń zrywał się z ławeczki i zbiegał po stopniach na parę minut, by zdartym głosem oznajmiać światu, że jest stacya taka a taka, że pociąg zatrzymał się na minut pięć, dziesięć lub cały długi kwadrans, lub że czas już przesiadać.

Zgasił latarkę, przypiętą do piersi i postawił ją wysoko nad głową na półce, zdjął szynel i zawiesił na kołku.

24 godzin służby bez przerwy wypełniły mu tak szczelnie czas, że niemal nic nie jadł. Organizm domagał

się swych praw. Boroń wydobyl z torby wiktuały i zaczął się posilać. Siwe, wypłowiałe oczy konduktora utknęły nieruchomo w szybie wagonu i patrzyły w świat poza oknami. Szyba trzęsa się w podrzutach wozu, wciąż jednakowo gładka i czarna — nie widział przez nią nic.

Oderwał oczy od monotonii ramy i skierował w głąb korytarza. Spojrzenie prześliznęło się po pierzei drzwi, wiodących do przedziałów, przerzuciło na ścianę okien naprzeciw i zgasało na nudnym szlaku chodnika podłogi.

Skończył „kolacyę“ i zapalił fajeczkę. Był wprawdzie w służbie, lecz na tej przestrzeni, zwłaszcza tuż przed metą, nie obawiał się kontrolera.

Tytoń dobry, przemycony nad granicą, ćmił się w kolistych, wonnych skrętach. Z ust konduktora wysnuwały się giętkie taśmy i zwinawszy się w kłębki, toczyły jak kule bilardowe wzdłuż wagonowego pasażu — to znów wypadaly gęste, zwarte cewki, przeciągały leniwo błękitne trzony i pękały u stropu petardą dymu. Boroń był mistrzem w paleniu fajki...

Z wnętrza przedziałów przyplłynęła fala śmiechu: goście byli w dobrych humorach.

Konduktor zacisnął zęby ze złością; z ust padły słowa pogardy:

— Komiwojażerowie! Handlarska branża!

Boroń zasadniczo nie cierpiał pasażerów; irytowała go ich „praktyczność“. Dla niego istniała kolej dla kolei, nie dla podróżnych. Zadaniem kolei było nie przewożenie ludzi z miejsca na miejsce w celach komunikacyjnych, lecz ruch jako taki i pokonywanie przestrzeni. Co ją mogły obchodzić

marne interesy ziemskich pigmejów, zabiegi przemysłowe oszustów, plugawe przetargi handlarzy? Stacje były nie na to, żeby na nich wysiadać, lecz by mierzyły przebytą drogę; przystanie kolejowe były probierzem jazdy, ich kolejna zmiana, jak w kalejdoskopie, dowodem postępów ruchu.

To też z pogardą spoglądał zawsze konduktor na tłumy, cisnące się przez drzwi wagonów na peron i naodwrot, z grymasem ironii obserwował zadyszane jejmoście i rozgorączkowanych pośpiechem jegomościów, pędzących na łeb, na szyję, wśród krzyków, przekleństw, czasem szturchańców do przedziałów, by „zająć miejsce“ i ubiedz towarzyszy z owczego stada.

— Trzoda! — spluwał przez zęby. — Jak gdyby Bóg wie co na tem świecie zależało, by jakiś tam pan B. lub jakaś tam pani W. przybyli „w porę“ z F. do Z.

Tymczasem rzeczywistość stanowiła rażący kontrast z poglądami Boronia. Ludzie wciąż wsiadali i wysiadali na stacyach, wciąż cisnęli się z tą samą zapalczywością, zawsze w tych samych praktycznych zamiarach. Ale też konduktor mścił się za to przy każdej sposobności.

W jego „rejonie“, obejmującym trzy do czterech wozów, nie było nigdy przepełnienia, tej ohydnej duśby motłochu, która kolegom odbierała nieraz ochotę do życia i była ciemną plamą na horyzoncie szarej, konduktorskiej doli.

Jakich używał środków, jakimi szedł drogami, by osiągnąć ten ideał, nieziszczalny dla innych towarzyszy zawodu, o tem nikt nie wiedział. Faktem było, że nawet w czasie największej frekwencyi w porze świątecznej wnętrza wagonów Boronia zdradzały normalny wygląd; przejścia

były wolne, w kularach oddychało się powietrzem znośnym. Siedzeń nadliczbowych i miejsc stojących konduktor nie uznawał. Surowy dla siebie i wymagający w służbie, umiał też być nieubłagany dla podróżnych. Przepisów przestrzegał dosłownie, z drakońskim nieraz okrucieństwem. Nie pomagały wybiegi, podstępne szacherki, zręczne wślizgiwanie w rękę „łapówek“ — Boronia nie można było przekupić. Parę osób nawet zaskarżył z tego powodu, jednego osobnika wypoliczkował za obrazę i przed władzami wyszedł obronną ręką. Nieraz też zdarzało się, że w środku jazdy, gdzieś na jakimś nędznym przystanku, na jakiejś lichej stacyjce, w czystym polu, wypraszał grzecznie lecz stanowczo z wagonu oszukującego „gościa“.

Dwa razy tylko w ciągu swej długoletniej kariery natknął się na „godnych“ pasażerów, którzy odpowiadali poniekąd jego ideałowi podróżnych.

Jednym z tych rzadkich okazji był jakiś bezimienny włóczęga, który bez centa przy duszy wszedł do przedziału pierwszej klasy. Gdy Boroń zażądał karty jazdy, obdartus wytłómaczył mu, że biletu nie potrzebuje, bo jedzie bez określonego celu, tak sobie, w przestrzeń dla przyjemności, z wrodzonej potrzeby ruchu. Konduktor nie tylko uznał rację, lecz przez cały przeciąg jazdy czuwał troskliwie nad wygodą gościa i nie wpuszczał nikogo do jego przedziału. Poczęstował go nawet połową swych prowiantów i zapalił z nim fajeczkę wśród przyjacielskiej pogawędki na temat: podróż na chybi trafi.

Drugi podobny pasażer zdarzył mu się parę lat temu na

przeźreni między Wiedniem a Tryestem. Był nim niejaki Szygoń, podobno właściciel ziemski z Królestwa Polskiego. Sympatyczny ten człowiek, zresztą napewno zamożny, również wsiadł bez biletu do pierwszej klasy. Zapytany, dokąd jedzie, odpowiedział że właściwie sam nie wie, gdzie wsiadł, dokąd zdąża i po co.

— W takim razie — zauważył Boroń — możeby najlepiej było wysiąść na najbliższej stacyi.

— Ej nie — odparł niezrównany pasażer — nie mogę, dalibóg nie mogę. Muszę jechać naprzód; coś mnie pędzi. Wystaw pan bilet, dokądkolwiek mu się podoba.

Odpowiedź oczarowała go do tego stopnia, że pozwolił mu jechać aż do końcowej stacyi zadarmo i nie naprzykrzał się już ani razu. Ow Szygoń podobno uchodził za waryata, lecz zdaniem Boronia, jeśli wogóle był bzikiem, to bzikiem we wielkim stylu.

Tak, tak — istnieli jeszcze na szerokim świecie doskonali podróżni, lecz czemu były nieliczne perły w morzu hołoty? Konduktor nieraz wracał z utęsknieniem ku tym dwom świetnym zdarzeniom swego życia, pieszcząc duszę wspomnieniami chwil wyjątkowych...

Przeważył głowę wstecz i śledził ruchy błękitnoszarych smug, porozwieszanych warstwami w korytarzu. Ponad miarowy stuk szyn wydostał się powoli szypot gorącej pary, pędzonej w rury. Usłyszał bulgotanie wody w zbiornikach, czuł ciepły jej napór o brzegi naczyń: ogrzewano przedmioty, bo wieczór był chłodny.

Momentalnie lampy u szczytu zmrużyły świetlne rzęsy i gasły. Lecz nie na długo, bo już w następnej chwili gorliwy

regulator wstrzyknął automatycznie świeżą dozę gazu, który podsycił słabnące palniki. Konduktor uczył jego specyficzną, ciężką woń, przypominającą trochę koper włoski.

Zapach był mocniejszy od dymu fajeczki, wnetliwszy, i mącił zmysły...

Nagle Boroniowi zdało się, że słyszy stąpanie bosych nóg po podłodze korytarza.

— Duh, duh, duh — dudniły gołe stopy — duh, duh, duh...

Konduktor wiedział już, co to znaczy; nie po raz pierwszy słyszał te kroki w pociągu. Wychylił głowę i spojrział w mroczną perspektywę wozu. Tam u końca, gdzie ściana załamuje się i cofa ku przedziałowi pierwszej klasy, ujrzał na sekundę jego jak zwykle nagie plecy — na sekundę tylko mignął jego wyprężony w kabłąk, zlany rześnym potem grzbiet.

Boroń zadrżał: Smoluch znów pojawił się w pociągu.

Po raz pierwszy zauważył go lat temu 20. Było to na godzinę przed straszną katastrofą między Zniczem a Księżymi Gajami, w której zginęło przeszło 40 osób, nie licząc wielkiej liczby rannych. Konduktor miał wtedy lat 30 i jeszcze silne nerwy. Pamięta dokładnie szczegóły, nawet numer nieszczęśliwego pociągu. Prowadził wtedy wagony końcowe i może dlatego ocalał. Dumny ze świeżo zdobytego awansu, odwoził do domu w jednym z przedziałów narzeczoną, swoją biedną Kasieńkę, jedną z ofiar nieszczęścia. Pamięta, jak wśród rozmowy z nią nagle uczył dziwny niepokój: coś go ciągnęło gwałtem na

korytarz. Nie mogąc oprzeć się, wyszedł. Wtedy zobaczył u wylotu wagonowego przedsionka znikającą postać nagiego olbrzyma; ciało jego, zasmolone sadzą, złane brudnym od węgla potem, wydzielало duszny odór: był w nim zapach włoskiego kopru, swąd dymu i woń mazi.

Boroń rzucił się za nim i chciał przychwycić, lecz zjawisko rozplynęło się w oczach. Słyszał tylko czas jakiś tupot bosych nóg na podłodze — duh, duh, duh — duh, duh, duh...

W jaką godzinę potem pociąg zderzył się z pospiesznym, dążącym z Księżych Gajów...

Od tego czasu zjawił mu się Smoluch jeszcze dwukrotnie, każdym razem jako zapowiedź nieszczęścia. Po raz drugi ujrzał go na parę minut przed wykolejeniem pod Rawą. Smoluch biegł wtedy po desce na dachach wagonów i dawał mu znaki czapką palacza, którą zerwał z uznojonej głowy. Wyglądał mniej groźnie, niż za pierwszym razem. To też obeszło się jakoś bez większych ofiar; wyjąwszy paru lekko rannych, nie zginął nikt.

Pięć lat temu, jadąc osobowym do Bązka, zoczył go Boroń między dwoma wozami przejeżdżającej mimo towarówki, która zdążała ze strony przeciwnej do Wierszyńca. Smoluch siedział w kuczki na zderzakach i bawił się łańcuchami. Koledzy, którym zwrócił na to uwagę, wyśmiali go, nazywając bzikiem. Lecz najbliższa przyszłość przyznała mu rację; towarowy, przejeżdżając przez podmulony most, runął w przepaść tej samej nocy.

Przepowiednie Smolucha były nieomyłne; gdziekolwiek zjawił się, groziła niechybna katastrofa. Trzykrotne

doświadczenie umocniło Boronia w tem przekonaniu, ukształtowało głęboką wiarę kolejarza, związaną ze złowieszczym pojawem. Konduktor żywił ku niemu cześć bałwochwalczą zawodowca i lęk, jak przed bóstwem złem i niebezpiecznym. Otoczył swoje zjawisko specjalnym kultem, urobił sobie oryginalny pogląd na jego istotę.

Smoluch tkwił w organizmie pociągu, przepajał sobą jego wieloczłonowy kościec, tłuł się niewidzialny w tłokach, pocił w kotle lokomotywy, włóczył po wagonach. Boroń wyczuwał jego bliskość wkoło siebie, obecność stałą, ciągłą, lubo nie naoczną. Smoluch drzemał w duszy pociągu, był jego tajemnym potencjałem, który w chwilach groźnych, w momencie złych przeczuć, wydzielał się, zgęszczał i przybierał ciało.

Sprzeciwiać mu się uważał konduktor za rzecz zbyteczną, nawet śmiesznią; wszelkie ewentualne wysiłki, zmierzające ku temu, by zapobiedz nieszczęściu, które zapowiadał, byłyby daremne, oczywiście bezskuteczne. Smoluch był jak przeznaczenie...

Ponowne ukazanie się dziwadła w pociągu i to na krótko przed metą, wprawiło Boronia w stan silnego podniecenia. Lada chwila można się było spodziewać jakiejś katastrofy.

Powstał i zaczął przechadzać się nerwowo po korytarzu. Z wnętrza jednego z przedziałów doszedł go gwar głosów, śmiech kobiet. Zbliżył się i przez parę sekund patrzył w głąb. Zgasił wesołość.

Ktoś odsunął drzwi od sąsiedniego coupé i wychylił głowę:

— Panie konduktorze, daleko do stacyi?

— Za pół godziny jesteśmy u celu. Docieramy do końca.

Było coś w intonacji odpowiedzi, co uderzyło pytającego. Oczy jego zatrzymały się przez dłuższą chwilę na konduktorze. Boroń uśmiechnął się zagadkowo i przeszedł. Głowa znikła z powrotem we wnętrzu.

Jakiś mężczyzna wyszedł z przedziału klasy drugiej i otworzywszy okno na korytarzu, wyglądał w przestrzeń. Ruchy jego gwałtowne zdradzały jakby niepokój. Podniósł okno i oddalił się w stronę przeciwną, na koniec kuluaru. Tu zaciągnął się parę razy papierosem, i rzuciwszy požuty naustnik niedogarka, wyszedł na platformę wozu. Boroń widział przez szybę jego sylwetkę, przechylającą się ponad sztabę ochronną, w kierunku jazdy.

— Bada przestrzeń — mruknął uśmiechnięty złośliwie.

— Nic nie pomoże. Licho nie śpi.

Tymczasem nerwowy pasażer wrócił do wagonu.

— Czy pociąg nasz skrzyżował się już z pospiesznym z Gronia? — zapytał z wysilonym spokojem, spostrzegłszy konduktora.

— Dotąd nie. Spodziewamy go się lada chwila. Zresztą być może, wyminiemy go na stacyi kresowej; nie jest wykluczone spóźnienie. Pospieszny, który ma pan na myśli, nadjeżdża z bocznej linii.

W tej chwili odezwał się z prawej strony gwałtowny łoskot. Za szybą przemknął olbrzymi kontur, zionący mietlicą iskier, a za nim lotem myśli prześmignął łańcuch czarnych pudeł, oświeconych wykrojami czworokątów, Boroń wyciągnął rękę w kierunku znikającego już pociągu:

— Otóż i on.

Niespokojny pan z westchnieniem ulgi wyciągnął papierośnicę i podał ją konduktorowi:

— Zapalmy sobie, panie konduktorze. Moerisy oryginalne.

Boroń przyłożył rękę do daszka czapki:

— Dziękuję pięknie. Ćmię tylko fajkę.

— Szkoda, bo dobre.

Podróżny zapalił sam papierosa i wrócił do coupé.

Konduktor uśmiechnął się szydersko za odchodzącym.

— Che, che, che! Coś przeczuł! Tylko za prędko się uspokoił. Nie gadaj brachu hop, boś jeszcze nie przeskoczył.

Lecz szczęśliwe skrzyżowanie trochę go zaniepokoiło. Szanse wypadku zmniejszyły się o jedną.

A już były trzy kwadransy na dziesiątą — za 15 minut mieli stanąć w Groniu, u kresu jazdy. Po drodze nie było już żadnego mostu, któryby mógł się zawalić; jedyny pociąg z przeciwnej strony, z którymby ewentualnie mogło zajść zderzenie, szczęśliwie wyminęto. Należało chyba spodziewać się wykolejenia lub też jakiejś katastrofy na samej stacyi.

W każdym razie prognoza Smolucha musiała się sprawdzić — o n za to ręczył, on, starszy konduktor Boroń.

Tu chodziło nie o ludzi, nie o pociąg, ani o całość jego własnej małej osoby, lecz o nieomyślność bosego dziwadła. Boroniowi zależało niezmiernie na utrzymaniu powagi Smolucha wobec sceptycznych konduktorów, na zachowaniu jego prestiżu w oczach niedowiarków. Koledzy, którym parę razy opowiadał o tajemniczych jego

odwiedzinach, brali sprawę z humorystycznego punktu widzenia, tłómacząc całą historię przywidzeniem, lub co gorsza, zalaniem pały. Zwłaszcza to ostatnie przypuszczenie bolało bardzo, ile że nigdy nie pijał. Kilku uważało Boronia za przesądnego bzika i pomyleńca. Toteż w grę wchodził poniekąd jego honor i zdrowy ludzki rozum. Wolał sam kark skręcić, niż przeżyć fiasko Smolucha...

Brakowało dziesięć minut do dziesiątej. Dopalił fajki i po schodkach wszedł na szczyt wozu, do oszklonej zewsząd budki. Stąd, z wysokości „bocianiego gniazda“ leżała za dnia przestrzeń jak na dłoni. Teraz świat nurzał się w grubych ciemnościach. Od okien wozów odpadały plamy światła, przeglądając zbocza nasypu żółtymi oczyma. Przed nim, w odległości pięciu wagonów, rozsiewała maszyna krwawe kaskady iskier, oddychał komin białoróżowym dymem. Czarny, dwudziestoprzegubowy wąż połyskiwał łuskami boków, zionął ogniem paszczy, oświetlał drogę otoczami ślepiów. W oddali majaczyła już zorza dworca.

Jakby czując bliskość upragnionej przystani, dobywał pociąg wszystkich sił i podwajał chyżość. Już mignął jak majak sygnał szyby dystansowej, nastawiony na wolny przejazd, już witały przyjaźnie podane ramiona semaforów. Szyny zaczęły się powielać, krzyżując w posetne linie, kąty, żelazne przeploty. Na prawo i lewo wypadały z mroków nocy niby na spotkanie latarki zwrotnic; wyciągały szyje stacyjne żórawie, studnie, ciężarowe dźwignie.

Wtem, na parę kroków przed rozhukaną w pędzie lokomotywą, zagrał czerwony sygnał. Maszyna wyrzuciła

ze spizowej gardzieli urwany gwizd, zazgrzytały hamulce, i pociąg, powstrzymany szalonym wysiłkiem kontrapary, zatrzymał się tuż przed drugą zwrotnicą.

Boroń zbiegł na dół i przyłączył się do gromadki kolejarzy, którzy też powysiadali, by zbadać powód przerwy w ruchu. Blokowy, który dał znak ostrzegawczy, wyjaśniał sytuację. Oto tor pierwszy, na który miano zajechać, był chwilowo zajęty przez towarowy. Trzeba było więc przerzucić zwrotnicę i puścić pociąg na tor drugi. Zwyczajnie przeprowadza się ten manewr w bloku, zapomocą jednej z dźwigni. Tymczasem podziemne połączenie między nim a torami uległo jakiemuś uszkodzeniu tak, że blokmistrz musiał dokonać przesunięcia na przestrzeni. Spuścił więc tylko łącznik łańcuchowy w blokhauzie, i przy pomocy klucza otworzył stawidło. Teraz miał dostęp bezpośredni do zwrotnicy i mógł już skierować szyny na tor właściwy.

Uspokojeni funkcjonariusze powrócili do wagonów, by czekać na hasło wolnego przejazdu. Boronia coś przykuło do miejsca. Wzrokiem błędnym patrzył na krwawy sygnał, jak odurzony słuchał chrzęstu przestawianych szyn.

— W ostatniej chwili zorientowali się! W ostatnim niemal momencie, na jakich 500 metrów przed stacją! Więc Smoluch kłamał?

Nagle zrozumiał swoją rolę. Szybko zbliżył się ku blokowemu, który założywszy kolbę, przerzucał stawidło i zmieniał barwę sygnału na zieloną.

Za wszelką cenę należało odciągnąć tego człowieka od zwrotnicy i zmusić doopuszczenia stanowiska.

Tymczasem koledzy już dawali znaki do wymarszu. Od końca pociągu szło już podawane z ust do ust hasło — „jazda“!

— Zaraz! Czekać tam! — krzyknął Boroń.

— Panie zwrotniczy! — zwrócił się półgłosem do wyprężonego w postawie służbowej funkcjonariusza. — Tam na pańskim bloku widać jakiegoś włóczęgę!

Blokowy zaniepokoił się. Wytężył wzrok w kierunku ceglanego domku.

— Prędej! — podszczywał Boroń. — Ruszaj pan z miejsca! Gotów poprzzerzuć dźwignie, popsuć przyrządy!

— Jazda! Jazda! — brzmiały zniecierpliwione głosy konduktorów.

— Czekać, do stu piorunów! — zaoponował Boroń.

Zwrotniczy zniewolony siłą głosu, szczególną mocą nakazu rzucił się biegiem ku blokowi.

Wtedy Boroń korzystając z chwili, chwycił za kolbę stawidła i napowrót połączył szyny z torem pierwszym.

Manewr wykonany był zręcznie, szybko i cicho. Nikt nie zauważył.

— Jazda! — krzyknął, usuwając się w cień.

Pociąg ruszył, nadrabiając spóźnienie. Za chwilę zasuwał się w mroki przestrzeni już ostatni wagon, wlokąc za sobą długi, czerwony szlak latarni...

Po chwili nadbiegł od bloku zbity z tropu zwrotniczy i oglądnał starannie pozycję stawidła. Coś mu się nie podobało. Podniósł do ust gwizdawkę i dał trzykrotny, rozpaczliwy sygnał.

Zapóźno!

Bo oto od strony stacyi wstrząsnął powietrzem okropny łoskot, głuchy, dudniący huk detonacyi, a potem piekielna wrzawa, zgiełk i jęki — lament, płacz i wycie splecione w jeden dziki chaos ze szczękiem łańcuchów, trzaskiem druzgotanych kół, łomotem zmiażdżonych bezlitośnie wagonów.

Karambol! — szeptały zbielełe wargi. — Karambol!...



Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Stefan Grabiński](#).

WIECZNY PASAŻER.

HUMORESKA.

Przez tłum zalegający halę wchodową dworca w Snowiu przeciskał się gorączkowo z walizką podróżną mały, nerwowy, w wyszarzałej zarzutce człowiek. Spieszyło mu się widocznie ogromnie, bo rozpychał gwałtownie gromady chłopów i rzucał się jak nurek w odmęt ludzkich ciał, od czasu do czasu wbijając niespokojne spojrzenie w tarczę zegara, królującego ponad morzem głów.

Było już kwadrans na czwartą po południu; za 10 minut odjeżdżał pociąg w kierunku K. Czas najwyższy, by kupić bilet i znaleźć miejsce.

Wreszcie po nadludzkich wysiłkach p. Agapit Kluczka przedostał się w okolicę kasy, by tu stanąć w ogonku i czekać cierpliwie, aż przyjdzie nań kolej. Lecz powolne posuwanie się naprzód, o krok na minutę znać go mocno niecierpliwiło, bo wkrótce zauważyli sąsiedzi widoczną u towarzysza niedoli tendencję do przyspieszenia pielgrzymki. Wreszcie ziajany, czerwony jak upiór, z kroplami potu na twarzy dotarł pan Agapit do upragnionego okienka. Lecz teraz zaszło coś niezwykłego. Zamiast zażądać biletu, pan Kluczka otworzył pulares, zajrzał

badawczo do jego wnętrza mrużąc coś niezrozumiałego pod nosem, odszedł drugim, „odpływowem“ przejściem od kasy.

Jeden z podróżnych, któremu pan Agapit w czasie swej wędrówki do okna nastąpił dość silnie na nagniotek, zauważył ku niemałemu oburzeniu cały ten zagadkowy manewr i nie omieszkał zgromić go na odchodnym:

— Ciśniesz się pan i pchasz naprzód jak opętany, myślałby kto, że Bóg wie, jak pilno ci odjechać... a tu odchodzisz od kasy bez biletu. Fi! Bzik, bzik! A może wybrałeś się pan w drogę bez pieniędzy?

Lecz pan Agapit już nie słyszał. „Zdobywszy“ symbolicznie bilet, pospieszył nerwowym krokiem przez poczekalnię na peron. Tu już oczekiwał tłum pasażerów przybycia pociągu. Pan Kluczka przeszedł się parę razy niespokojnie po peronie i podając otwartą papierośnicę portyerowi, zagadnął:

— Czy pociąg spóźniony?

— Tylko o kwadrans — objaśnił kolejarz, wyciągając z uśmiechem z przegródki papierosa. — Za dwie minuty będziemy go mieli na dworcu. A łaskawy pan dzisiaj na odmianę rozpoczyna turę jazdą do Kostrzan? — zapytał, filuternie przymykając oko.

Pan Kluczka zmieszał się jakoś, zaczerwienił i obróciwszy na pięcie, podbiegł truchcikiem poza drugi tor. Portyer, znać dobry znajomy, pokiwał tylko za gościem pobłażliwie głową, machnął ręką i zajmwszy zwykłe stanowisko przy wejściu do poczekalni, zaczął z lubością zaciągać się papierosem.

Wśród tego zajechał pociąg. Fala podróżnych zakołysała się zgodnym rytmem, pomykając ku wagonom. Rozpoczęła się stereotypowa bousculade, przewracanie się na pakunkach, tłok, ciżba, zgiełk.

Pan Agapit z dziką energią wytrawnego gracza rzucił się pomiędzy pierwsze szeregi atakujących; po drodze obalił jakąś sędziwą staruszkę, zdążającą do przedziału z dwoma potwornymi tobołami, przewrócił jakąś nianię z niemowłębem i podbił oko jakiemuś wytwornemu panu. Niezwyciężony ulewą przekleństw i złorzeczeń, które posypały się nań ze stron poszkodowanych, p. Kluczka wstąpił tryumfalnie na schodki, wiodące do coupé II. klasy i jednym elastycznym susem znalazł się w długim, wąskim kurytarzyku. Otarł pot z czoła, uśmiechnął się zwycięsko i spojrzał złośliwie na kłębiące się w dole falangi pasażerów. Lecz gdy po pięciu minutach takiego rozkoszowania się „zajętem“ miejscem usłyszał gwizd świstawki do odjazdu, w twarzy jego zaszła nagła zmiana: pan Agapit zaniepokoił się. I zanim odezwał się finalny odzew trąbki, porwał z siatki swą walizę, przemknął błyskawicą poza plecyma zdumionych podróżnych i wysiadł tylnymi drzwiami odwróconymi od dworca w kierunku magazynów. W tej chwili pociąg ruszył. Ponad głową pana Agapita zaczęły przesuwać się w coraz silniejszym tempie okna wagonów, ciemno-zielone lub czarne kadłuby wozów; z któregoś przedziału wychyliła się złośliwa głowa jakiegoś wisusa, który spostrzegłszy stojącego bezradnie poniżej mężczyznę, zagrał mu szyderczo palcami na nosie. Wreszcie prześcignął ostatni wagon i zamykając łańcuch towarzyszy

swym szerokim, pleczystym grzbietem szybko zasuwał się w przestrzeń. Pan Kluczka patrzył przez chwilę żalosem spojrzeniem za znikającym pociągiem, opuściwszy bezwładnie walizę, niby żywy posąg rezygnacyi i smutku; potem pod krzyżowym ogniem ironicznych spojrzeń funkcjonaryusza powlókł się z powrotem do poczekalni.

Tu szeregi czekających gości przeraziły się; główny kontyngent odpłynął już z pociągiem; pozostali wyglądali parowozu, który kursował na bocznej linii, idącej na południe w stronę gór. Czasu było jeszcze sporo: pociąg odjeżdżał dopiero po szóstej wieczorem.

Pan Kluczka zajął wygodne miejsce w kącie sali, zastawił się walizą, umieszczoną na stole naprzeciw i wydobywszy z kieszeni małe zawiniątko, zaczął spożywać skromny podwieczorek. Dobrze mu tu było w zacisznym zakątku, ukrytym w półmroku, który już zarzucał w salę tu i ówdzie nieznaczące zasięgi. Wyprostował leniwo nogi, oparł się o poręcz pluszowej kanapki i z całą rozkoszą oddawał się „nasiąkaniu“ atmosferą poczekalni i dworca.

Pan Agapit Kluczka, z zawodu mundant sądowy był namiętym zwolennikiem kolei i podróży. Środowisko kolejowe działało nań jak narkotyk, wstrząsało całym jego jestestwem do głębi. Zapach dymu, lokomotyw, kwaśna woń gazu świetlnego, specyficzny zaduch kopciucha i sadzy, rozlany w korytarzach stacyjnych przyprawiły go o słodki zawrót głowy, mąciły przytomność i jasność myślenia. Gdyby nie lichego stan zdrowia, byłby został konduktorem, by bez przerwy jeździć z jednego końca kraju w drugi. Zazdrościł też niezmiernie funkcjonaryuszom kolejowym

tej ciągłej nerwicy, tego wiecznego przerzucania się z pociągu na „ziemię“, z „ziemi“ na pociąg, niekończącej się nigdy, aż do grobowej deski jazdy i jazdy bez wytchnienia. Niestety los przykuł go do zielonego stolika, związał szpagatem nudy ze stosami zapyłonych aktów i papierów. Pisarz sądowy...

Spojrzał raz jeszcze w głąb swej portmonetki i z gorzkim uśmiechem wsunął ją z powrotem do kieszeni;

— 30 zł. — wyszeptał z westchnieniem — a dziś dopiero 5-go. Gdyby nie te przeklęte pieniądze, byłbym dziś jeszcze przed nocą w Kostrzanach, wraz z tymi szczęśliwcami.

Wyobraźnia przeniosła go jednym rzutem w gwarne środowisko dworca w Kostrzanach, nurzając się w zgiełku głosów, chaosie sygnałów i dreszczach dzwonków. Z pod przymkniętych powiek wytoczyły się powoli duże dwie, ciche łzy i spadły na rudawe wąsiki...

Nagle oprzytomniał. Otarł szybko oczy, podkreślił wąsa i poprawiwszy się na kanapce, zaczął rozglądać się po poczekalni. Wkoło panowała typowa nuda dworców roziewana czekaniem zszarzała monotonią powtórzeń. Ciszę sali przerywał chyba od czasu do czasu suchy kaszel jakiegoś suchotnika, ciężki, wlokący się chód znudzonego „gościa“ lub szept „grzecznych“ dzieci z pod okna pytających o coś rodziców. Poza szybami okien przesuwwały się chwilami postacie funkcjonariuszy, mignęła czerwona plama czapki urzędnika ruchu. Gdzieś z oddali dochodził histeryczny świst szybującej za dworcem maszyny...

P. Agapit ześrodkował spojrzenie na najbliższym sąsiedzie z lewej, starym żydzie — chałatniku drzemiącym

od godziny w tej samej pozycji.

— Pan daleko? — zagał rozmowę.

Żyd wydrażony z sennej zadumy popatrzył nań niechętnie, ospale.

— Do Rajbrodu — ziewnął, gładząc długą, ryżą brodę.

— A więc na południe, w górską stronę. I ja również wybieram się w tamtym kierunku. Ładna partya! Same jary, lasy, podgórze. Lecz trzeba bardzo uważać w ciągu jazdy — dodał, przechodząc z entuzjazmu w ton przestrogi.

— A bo co? — zapytał zaniepokojony żydowin.

— Strona trochę niebezpieczna; zawsze to, widzi pan, lasy, góry, parowy. Podobno pojawiają się tam od czasu do czasu zbójnicy.

— Aj, aj! — jęknął starozakonny.

— No — nie często — ale zawsze ostrożność nie zawadzi — uspokajał Kluczka. — Najlepiej jechać w jednym z wagonów środkowych i to nie we wnętrzu przedziału lecz na korytarzu.

— Dlaczego, proszę pana?

— Łatwiej wydobyć się w razie czego; krótsza droga. Przez okno hyc! w pole i basta.

P. Agapit ożywił się ogromnie i z błyszczącymi werwą oczyma zaczął roztaczać przed współpasażerem obrazy ewentualnych niebezpieczeństw, jakie mogą grozić podróżnym na tej przestrzeni. Kluczka „przechodził“ przez t. zw. „moment ostrzegawczy“, innymi słowy „stał w znaku ostrzeżeń“, jak lubiał to u siebie określać. Było to pierwsze niby intermedyum, które rozgrywało się zawsze w poczekalni, dokąd wracał po odbyciu pierwszej

„symbolicznej podróży“ do K. Zwyczajnie padał ofiarą tej złowieszczej konstelacji ducha pana Agapitowego najbliższy współtowarzysz lub towarzysza podróży, których przypadek umieścił w jego pobliżu. Kluczka wysilał się na wymyślanie tysięcznych możliwych i niemożliwych niebezpieczeństw, które malował nader plastycznie z niewolącą ku sobie siłą sugestyi. I nieraz osiągał efekt niebywały; parę razy zdarzyło mu się, że po takiej rozmowie niejedna przerażona jejmość rezygnowała z podróży, odkładając ją do „spokojniejszych czasów“, lub też, gdy jazda była koniecznością nieuniknioną, z pobożnem westnieniem wsuwała grubszy datek do skarbonki kolejowej z napisem: „Na intencyę szczęśliwej podróży“...

Pobudki, jakie kierowały Kluczką w „stadium ostrzeżeń“, były natury dość złożonej i niejasnej. Niewątpliwie pewną rolę odgrywało tu i pragnienie zemsty na tych „szczęśliwcach“, jak nazywał podróżnych za to, że jadą „na prawdę“, — pragnienie głęboko utajone w sercu, do którego by się niechętnie przyznał; równocześnie jednak wchodziło w grę i inne uczucie, nadając całemu splotowi nastrojowemu specjalne zabarwienie. Oto p. Agapit roztaczając przed oczyma swych ofiar obrazy ewentualnej grozy położenia tem samem doznawał wraz z nimi intensywnych przeżyć na tle środowiska kolejowego i zdobywał w ten sposób jeden surogat jazdy więcej. Tak wchodził „moment ostrzegawczy“ w kompleks tęsknot i wrażeń podróżniczych, o które przedewszystkiem chodziło...

Stacyjny zegar wybił dźwięcznie godzinę szóstą. W sali wszczął się ruch. Z kątów wychyliły się senne postacie i otrząsłszy się z drzemoty, chwyciły nerwowo za pakunki, zmierzając ku oszklonym drzwiom na peron.

P. Agapit urwał w połowie rozpoczęte zdanie, poprawił na sobie narzutkę, wyprostował się i elastycznym krokiem zbliżył się ku wyjściu. Portyer ustępując pod naporem zniecierpliwionych gości, usunął się w głąb peronu. Tłum wylał się na zewnątrz, unosząc z sobą zdenerwowanego już Kluczkę. Przepychając się przez drzwi, spotkał p. Agapit ironiczne spojrzenie funkcjonariusza, lecz udał, że w rozrządzeniu tego nie dostrzega.

— Jechał cię sęk! — pomyślał, wyprzedzając jegomościa. A już pociąg zajechał z brawurą przed stacją i wyrzucał na boki długie, białe leje pary.

Ponieważ ścisk był tym razem mniejszy, p. Agapit „zdobył“ łatwo wyborne miejsce w klasie I. i rozsiadł się czerwonym pluszu poduszek. Z powodu skrzyżowania z pospiesznym z F. pociąg zatrzymał się w Snowiu dłużej niż zwykle i Kluczka mógł dobrej pół godziny oddawać się iluzjom „jazdy symbolicznej“ w stronę gór. Lecz gdy już przeleciał mimo oczekiwany pospieszny i zniknął w dali wśród tumanów dymu, p. Agapit ściągnął nieznacznie z siatki walizę i ukradkiem wymknął się ku schodkom na zewnątrz. Gdy w minutę potem rozległ się pożegnalny jęk trąbki, zbiegł niespostrzeżony przez nikogo po stopniach w dół i znalazł się z powrotem w poczekalni. Po drodze okupił się ponownie jednym papierosem u p. Wawrzyszyna, portyera, który już zbyt natarczywie zaglądał mu w oczy.

Wogóle musiał biedak co pewien czas opłacać się służbie kolejowej, by przez palce patrzyła na jego „wybryki“. Znano go też powszechnie na dworcu pod przydomkiem „wiecznego pasażera“ lub też drugim, mniej pochlebny „nieszkodliwego bzika“.

Tymczasem pociąg odjechał i rozpoczęło się drugie intermedyum. Poczekalnia opustoszała zupełnie. Najbliższy pociąg osobowy w kierunku D. przychodził dopiero o 10-tej wieczorem; ludziom nie spieszyło się na dworzec.

Stację obsiadły przedwieczorna nuda i dumanie: rozpanoszyły się szare pajęczą przędzą po pustych ławkach, rozziewały po wnękach i kątach. Pod stropem sali błąkało się parę much, brzęcząc monotennie i z dziwnym uporem okrążało duży, wisiorami strojny pająk. Poprzez okna rozbłysły na przestrzeni pierwsze ognie zwrotnic, wtargnęły świetlne strugi elektrycznych bań. W półmroku zamkniętej poczekalni snuła się samotna sylweta sądowego pisarza, zgarbiona jakaś, zgięta, przybita nisko do ziemi...

Kluczka studyował w promieniu reflektora peronowego stary już, wystrzępiony rozkład jazdy, obliczał ceny biletów, wyszukiwał fikcyjne „połączenia“ parowozów. Wkońcu z wypiekami na twarzy wyznaczył najdokładniej w świecie rutę, jaką obiecywał sobie odbyć „naprawdę“ koło Wielkiej Nocy po otrzymaniu dwutygodniowego urlopu i dodatku świątecznego do pensji.

Gdy kończył już obliczenia i przeglądał raz jeszcze drobnym, precyzyjnym „maczkiem“ sporządzone notatki, nagle w sali pojaśniało; z pod sufitu strzeliło pięć elektrycznych rac, ze ścian bluznęło parę jasnożółtych

rzutów: poczekalnia przybrała atmosferę wieczorną. Klamka drzwi tylnych poruszyła się ku dołowi i do sali weszło paru podróżnych. Nastrój rozwiął się bezpowrotnie. Wszystko stało się jasnym jak w biały dzień.

Pan Agapit zajął zwykle miejsce obserwacyjne w cieniu pieca koło jakiejś niewiasty w wieku nieokreślonym. Osoba znać była nerwowa, wnosząc ze specjalnego tic'u w kątach ust i ruchów wypadliwych. Kluczcze zrobiło się nagle ogromnie jej żal i postanowił ukoić niespokojną sąsiadkę.

— Pani Dobrodziejka — pochylił się ku damie, przybierając wyraz pełen niemal seraficznej słodyczy — prawdopodobnie bardzo poddaje się nastrojowi podróżniczemu?

Dama zaskoczona zniemacka popatrzyła nań trochę obco.

— Poprostu — tłumaczył jedwabistym głosem p. Agapit — poprostu cierpi czcigodna pani na t. zw. febrę kolejową. Znam to, łaskawa pani, znam aż nadto dobrze. Ja również do dziś dnia, chociaż niby w tej materii bywalec, nie mogę jakoś zapanować nad środowiskiem kolejowem. Działa na mnie ciągle z jednakową siłą.

Kobieta spojrzała łaskawiej.

— Istotnie czuję się trochę podniecona; może nie tyle czekając mię jazdą, ile niepewnością, jak sobie dam radę po przybyciu do celu. Nie znam zupełnie miejscowości, do której zmuszoną jestem jechać, nie wiem, do kogo się zwrócić, gdzie przenocować. Chodzi o pierwsze, nader przykre chwile bezpośrednio po przyjeździe.

Pan Agapit zatarł z zadowoleniem rękę: dama ułatwiła mu cudownie przejście do „momentu informacyjno-

objaśniającego“, który z kolei rzeczy wyłaniał się na horyzoncie wieczornym. Dobył z bocznej kieszeni surduta potężny plik papierów i notatek i rozkładając go przed sobą na stole, zwrócił się z życzliwym uśmiechem do sąsiadki:

— Na szczęście mogę służyć pani daleko idącymi informacjami. Czy wolno wiedzieć, dokąd łaskawa pani jedzie?

— Do Ujścia Wyżniego.

— Znakomicie. Zaraz będziemy wiedzieli o niem coś więcej. Zagłębmy do spisu stacyi na końcu... Ujście Wyżnie... jest! Linia S—D, str. 30. Wybornie!... Czas odejścia pociągów: osobowy 4³⁰ w nocy, 11²⁰ przed poł. i 10⁰³ wieczorem. Cena biletu II. klasy K. 10·40. Przejdźmy do szczegółów lokalnych. Ujście Wyżnie — wzniesienie ponad poziom morza: 210 m. — miasto wielkości trzeciorzędnej — 20.000 mieszkańców; sąd powiatowy, starostwo, szkoła wydziałowa, 1 gimnazjum...

Dama przerwała tok objaśnień niecierpliwym gestem ręki.

— Hotele, kochany panie, czy są jakie hotele?

— Zaraz... zaraz będą... Są! 2 zajazdy, 1 gospoda pod „Czapką Niewidką“ i hotel „Imperial“. To dla nas! Otóż hotel „Imperial“ — tuż koło dworca na prawo, 2 minuty drogi — słoneczne, duże pokoje od 3 K. w górę — obsługa pierwszorzędna, opał stosownie do żądania, elektryka, winda, łaźnia parowa na dole — 3 minuty drogi powolnym, spokojnym chodem — obiady, kolacze, kuchnia domowa znakomita. Mein Liebchen, was...

Tu ugryzł się p. Agapit w język, orientując się, że w zapale informacyjnym posunął się za daleko.

Dama promieniała:

— Dziękuję panu, serdecznie dziękuję. Czy pan jest zawodowym informatorem przy tutejszej stacyi? — zagadnęła, wydobywając z torebki portmonetkę.

Kluczka zmieszał się.

— Ależ nie, proszę pani. Proszę mnie nie uważać za agenta biura informacyjnego. Ja tylko tak z amatorstwa, z czysto idealnych pobudek.

Z kolei ją ogarnęło zakłopotanie.

— Przepraszam pana bardzo i jeszcze raz pięknie dziękuję.

Podąa mu rękę, którą on po rycersku ucałował.

— Agapit Kluczka, „urzędnik“ sądowy — przedstawił się, uchylając kapelusza.

Był w różowym humorze: stadyum informacyjne wypadło dziś nadspodziewanie. To też gdy koło 10 rzucił portyer w salę stentorowym głosem hasło do odjazdu, wieczny pasażer dokonał wszystkich swych symbolicznych ewolucyj ze zdwojoną energią dwudziestokilkoletniego młodzieńca. A chociaż po ponownym nawrocie do poczekalni intermezzo trzecie nie zapowiadało się ponętnie, przecież górna temperatura nie opadła i dusza pana Agapita kołysała się słodkim wspomnieniem stadyum drugiego.

Mimoto dzisiejszej „turze“ nie było sądzonem szczęśliwe zakończenie. Bo gdy w dwie godziny później t. j. po 12 w nocy usiłował Kluczka wśród niebywałego tłoku wedrzeć się z walizą do przedziału III. klasy, nagle

uczul, że ktoś go silnie szarpnął za kołnierz i gwałtem ściąga ze stopnia. Oglądnąwszy się z pasyą, ujrzał w świetle latarni śródtorowej rozgniewaną twarz konduktora i usłyszał w zgiełku głosów następującą apostrofę widocznie dla niego przeznaczoną:

— Wynoś się pan stąd do stu dyabłów! Ścisk, że szpilki nie rzucisz, a ten bzik mimo wszystko pnie się po schodach jak opętany i roztrąca ludzi, by potem drugą stroną wyskoczyć w chwili odjazdu. Znam cię ptaszku nie od dzisiaj i mam już od dawna na oku! No, ruszaj stąd do stu piorunów, bo wezwę na pomoc żandarma! Niema czasu dzisiaj na zaspakajanie głupkowatych chętek waryatów!

Odurzony, przestraszony do szpiku kości Kluczka ujrzał się niespodziewanie poza nawiasem pasażerów i jak pijany zatoczył się gdzieś pod słupy peronu.

— Dobrze ci tak — szeptał przez zaciśnięte zęby — po co było pchać się do III. klasy zamiast do I. lub II. Pośledni przedział, poślednia służba — zawsze ci to mówiłem. Poznać pana po cholewach.

Trochę uspokojony tym wywodem, poprawił wymiętą zarzutkę i chyłkiem wyniósł się z peronu do poczekalni, stamtąd do hali wchodowej, a stąd na ulicę. Miał dość na dzisiaj „podróży“ — zajęcie ostatnie zniechęciło go do dokończenia dzisiejszej tury, skracając mu ją o jedną godzinę.

Było już po północy. Miasto spało. Pogasty światła przydróżnych gospód, przygłuchły głosy piwiarni i restauracyi. Gdzieniegdzie rozświetlała mrok ulicy hen daleko na zakręcie suchotnicza latarnia, gdzieniegdzie

prześlizgnął się po chodniku mdły blask z jakiejś podziemnej nory. Ciszę snu przerywał niekiedy spieszny chód spóźnionego przechodnia lub dalekie wycie psów spuszczonech z łańcucha...

Wązką, krętą uliczką, pnącą się gdzieś w górę wśród zapadłych zaułków nad rzeką włókł się powoli z walizą w ręce wieczysty pasażer. Głowa ciężyła mu ołowiem, nogi stąpały sztywnie, drewniane jak szczudła. Wracał do domu na parę godzin snu przed świtem, bo nazajutrz rano czekało nań biuro a po godzinie trzeciej jak dzisiaj, jak wczoraj, jak od lat już niepomniętych „symboliczna podróż“.



Tekst jest [własnością publiczną \(public domain\)](#). Szczegóły licencji na stronie autora: [Stefan Grabiński](#).

W PRZEDZIALE.

Pociąg czał przestrzenią szybki jak myśl.

Zapadające już w podnocny mrok pola, puste jak okiem sięgnąć ugory zataczały pod oknami wagonów szerokie kręgi, które zgarniane bezustanku niby fałdy wachlarza usuwały się gdzieś wstecz posłuszne. Wyprężone druty telegrafu to szły w górę, to spadały w dół, to znów snuły się jakiś czas w jednakim poziomie: uparte, śmieszne, sztywne linie...

Godziemba patrzył przez okno wagonu. Przywarte do lśniącej szyny oczy upajały się jej pozornym ruchem, zaparte o ramę okna ręce jakby pomagały pociągowi odpychać poza siebie przestrzeń przebytą. Serce było wzmożonem tętnem, niby chcąc przyspieszyć tempo jazdy, podwoić rozpęd rzegoczących głucho kół...

Uskrzydłony pędem parowozu ptak wylatywał swobodnie z więzów codzienności, przemykał chyżo wzdłuż wyciągniętej ściany wozów i uderzywszy po drodze radosną lotką o szyby okien, wyprzedzał maszynę. Hej, tam w szerokie, sine dale, odległy, mgłami skryty świat!...

Godziemba był fanatykiem ruchu. Zwykle cichy i

nieśmiały marzyciel z chwilą wstąpienia na stopnie wagonu przemieniał się nie do poznania. Znikała niezaradność, zczesała gdzieś bojaźliwość a zaciągnięte mgłą trwożliwej zadumy oko nabierało połysków energii i siły; notoryczny „śniarz na jawie“ i niedołęga przeistaczał się nagle w pełnego woli i poczucia własnej wartości życiowca. I gdy już przebrzmiał rzeński odzew trąbki i czarna pierzeja wozów ruszała z miejsca ku odległym celom, radość bezbrzeżna przenikała całe jestestwo, rozlewając po najdalszych zakątkach duszy prądy ciepłe, ożywcze jak słońce w gorące dni lata.

Tkwilo coś w istocie pędzącego pociągu, coś, co galwanizowało słabe nerwy Godziemby — podniecało silnie choć sztucznie nikłą energią życiową. Wytwarzało się specyficzne środowisko, jedyne w swoim rodzaju milieu ruchome, które miało swe prawa, swój układ sił, swoją własną dziwną, czasem groźną duszę. Ruch parowozu udzielał się nie tylko fizycznie; rozmach maszyny przyspieszał tętna psychiczne, elektryzował wolę, usamodzielniał; „nerwica kolejowa“ zdawała się przetwarzać u przerafinowanego wrażliwca w czynnik poniekąd dodatni, pozytywny lubo chwilowy. Spotęgowane podniecenie utrzymywało przez czas trwania jazdy na sztucznej wyżynie zwykle wątłe władze życiowe Godziemby, by po ustąpieniu „szczęśliwych“ warunków przejść w stan tem głębszej prostracyi; pociąg w ruchu działał nań jak morfina, zastrzyknięta w żyły nałogowca.

Znalazłszy się w czterech ścianach przedziału, Godziemba odrazu ożywił się; mizantrop na „ładzie stałym“

tutaj zrzucał skórę odludka i sam zaczepiał ludzi czasem niechętnych rozmowie. Ten człowiek małomówny i trudny w pożyciu codziennym, nagle przeradzał się w causeur'a pierwszej klasy zasypującego towarzyszy podróży anegdotami ułożonemi na prędcie w sposób zręczny i dowcipny. Niedołęga życiowy, którego mimo wybitnych zdolności ubiegały we wszystkim zręczne miernoty, stawał się ni stąd ni zowąd jednostką mocną, przedsiębiorczą i ciętą. „Tchórz nerwami i całym sobą“ przemieniał się niespodzianie w skorego do zaczepki awanturnika, który mógł być nawet niebezpiecznym.

To też nieraz miewał Godziemba w czasie jazdy ciekawe przygody, z których wychodził zwycięsko dzięki swej zadzierzystej i nieustępliwej postawie. Jakiś złośliwy świadek jednej z takich awantur, skądinąd dobry znajomy radził mu, by wszystkie swe sprawy honorowe załatwiał zawsze tylko w pociągu i to podczas pełnego ruchu.

— Mon chère — strzelaj się zawsze w kularach wagonowych; będziesz się bił jak lew. Jak Boga Kocham!

Lecz sztuczne spotęgowanie sprawności życiowej odbijało się później fatalnie na zdrowiu: każdą niemal podróż odchorowywał; po chwilowej zwwyżce sił psychofizycznych następowała tem gwałtowniejsza reakcja. Mimo to Godziemba lubiał nadzwyczaj jazdę pociągami i niejednokrotnie wymyślał sobie fikcyjne cele podróży, byle tylko opiumizować się ruchem.

I wczoraj wieczorem wsiadując do pospiesznego w B., nie wiedział dokładnie, po co jedzie, nie zastanawiał się nawet nad tem, co będzie robił dziś w nocy w F., gdzie go

miał za parę godzin pociąg wyrzucić. Mniejsza o to. Co go to mogło obchodzić? Oto siedzi wygodnie w ciepłym coupé, patrzy przez szybę na migający w przelocie obraz i jedzie, pędzi z szybkością 100 km. na godzinę.

.

Na dworze ściemniło się tymczasem zupełnie. Załączony niewidzialną ręką prąd w gruszce pod pułapem oświetlił jaskrawym światłem wnętrze. Godziemba zasunął firanę, odwrócił się plecyma od okna i spojrział w głąb przedziału. Zajęty obserwowaniem mroczniejszej okolicy, nie zauważył dotąd, że na jednej ze stacyi wsiadło do wagonu dwoje ludzi i zajęło wolne miejsce naprzeciw.

Teraz w żółtym świetle żarówki spostrzegł vis-à-vis siebie współpasażerów. Było to prawdopodobnie młode małżeństwo. Mężczyzna wysoki i szczupły o ciemno-blond włosach i krótko przystrzyżonych wąsach wyglądał na lat trzydzieści kilka. Z pod silnie zarysowanych brwi patrzyły oczy jasne, wesołe a dobre. Twarz szczerą, otwartą, o nieco wydłużonym owalu krasiał miły uśmiech, ilekroć zwracał się do swojej towarzyszki.

Kobieta, również blondynka lecz w jaśniejszym odcieniu była osobką małą, lecz pięknie rozwiniętą. Bujne, gęste włosy, skręcone bezpretensjonalnie w dwa grube warkocze w tyle głowy okalały twarzyczkę drobną, świeżą i dorodną. Krótka, szara spódniczka, spięta skromnym, skórzanym paskiem uwydatniała ponętą linię bioder i dziewiczo jędrnych piersi.

Oboje byli mocno opyleni kurzem i prochem gościńców; widocznie wracali z wycieczki. Szedł od nich urok młodości i zdrowia — rzeźwy powiew gór — owa specyficzna aura, którą przynoszą z sobą ze szczytów uznojeni turyści. Byli zajęci żywą rozmową. Zdaje się udzielali sobie wzajemnie wrażeń z odbytej wspólnie wycieczki, gdyż pierwsze słowa, na które zwrócił uwagę Godziemba, odnosiły się do jakiegoś niewygodnego schroniska na szczycie.

— Szkoda, żeśmy nie wzięli z sobą wełnianej deczki; wiesz, tej w czerwone paski? — mówiła mała pani. — Było trochę za chłodno.

— Wstydź się Nuna — skarcił ją uśmiechnięty towarzysz. — Nie wolno przyznawać się do podobnej słabości. Czy masz moją papierośnicę?

Nuna zanurzywszy rękę w torbę podróżną, wydobyła z niej żądany przedmiot.

— Jest, ale zdaje mi się próżna.

— Pokaż!

Otworzył. Na twarzy pojawiło się rozczarowanie namiętnego palacza.

— Niestety.

Godziemba, któremu udało się tymczasem już parę razy pochwycić spojrzenie rasowej blondynki, skorzystał ze sposobności i grzecznie zdejmując kapelusz, podał swą bogato wyposażoną papierośnicę.

— Czy mogę służyć?

Tamten odpowiadając na ukłon, wyjął jedno cygaro.

— Dzięki stokrotne. Imponujący arsenał! Bateria przy

bateryi. Łaskawy pan przezorniejszy odemnie. Na przyszłość lepiej zaopatrzę się na drogę.

Preliminarya znajomości były szczęśliwie przebyte; potoczyła się rozmowa swobodna gładkiem, szerokim korytem.

Państwo Rastawieccy wracali z gór po ośmiodniowej wycieczce, odbytej częścią piechotą, częścią na rowerach. Dwa razy zlał ich w wąwozie deszcz, raz zabłądzili w jakimś parowie bez wyjścia. Mimoto ostatecznie pokonali zwycięsko trudności i wyprawa udała się wybornie. Teraz wracali koleją pomęczeni porządnie lecz w humorach świetnych. Byliby może zabawili jeszcze jeden tydzień pośród pasm Beskidu Wschodniego, gdyby nie roboty niwelacyjne inżyniera; w najbliższej przyszłości oczekiwał Rastawieckiego nawał pracy, którą przerwał tylko na krótko dla nabrania oddechu. Powracał chętnie, bo zawód swój lubiał.

Godziemba słuchał tylko dorywczo tych objaśnień, udzielonych mu naprzemian przez inżyniera i jego żonę; raczej zajmowały go ponęty fizyczne pani Nuny.

Nie można było nazwać jej piękną; była tylko ogromnie miła i szalenie pociągająca. Bił od tej pulchnej, trochę krępej postaci czar zdrowia i świeżości — niepokoił zmysły powab ciała pachnącego wonią dzikich ziół i macierzanki.

Od pierwszego spojrzenia jej dużych, niebieskich oczu uczuł ku niej nieprzeparty pociąg. Było to tem dziwniejsze, że nie odpowiadała jego ideałowi; lubiał silne brunetki, wysmukłe kibici, rzymskie profile — pani Nuna należała do wprost przeciwnego typu. Zresztą Godziemba zwykle nie

zapalał się łatwo; był raczej naturą chłodną, pod względem płciowym wstrzemięźliwą.

A jednak wystarczyło jedno skrzyżowanie spojrzeń z inżynierową, by rozniecić w nim potajemny żar pożądania.

To też patrzył w nią wzrokiem palącym, śledził ogniście każdy jej ruch, każdą zmianę pozycji.

Czyżby cóż zauważyła? Raz pochwycił wstydlive spojrzenie, rzucone ukradkiem z pod jedwabistych rzęs — to znów zdawało mu się, że zauważył na pąsowych, soczystych jak wiśnia wargach uśmieszek, przeznaczony dla niego, pełny zadowolonej dumy i skrytej zalotności.

To go zachęciło. Zaczął być śmielszy. W ciągu rozmowy zwolna oddalał się od okna i niepostrzeżenie przysunął na linię jej kolan. Czuł je tuż obok swoich, czuł miłe ich ciepło, promieniejące poprzez szarą, wełnianą sukienkę.

W pewnym momencie, gdy wagon przechylił się nieco na skraj, kolana ich spotkały się. Przez parę sekund chłonał słodczy dotknięcia — przycisnął się mocniej, przytulił i wtedy ku niewypowiedzianej radości uczuł, że odpowiedziano mu podobnie. Byłże to przypadek?

Lecz nie. Pani Nuna nie usuwała nogi; owszem, założyła jedną na drugą w ten sposób, że podniesionem lekko udem zasłoniła przed mężem zbyt natrętne kolano Godziemby. Tak jechali długi, rozkoszny czas...

Godziemba był we wyśmienitym humorze. Sypał jak z rękawa dowcipami, puszczał szmermele pikantnych, lubo w wytwornej formie podanych żartów. Inżynierowa wybuchała co chwilę kaskadami srebrzystego śmiechu, który odślaniał w perłowej pełni jej zębki równe, szkliste,

trochę drapieżne; ruchy toczonych jej bioder, wstrząsanych dreszczem wesołości, były miękkie, kocie, niemal lubieżne.

Policzki Godziemby zaróżowiły się, w oczach pełgał żar i upojenie. Bił od niego nieprzeparty urok żądz i zagarniał ją gwałtem w swój czarodziejski krąg.

Rastawiecki podzielał wesołość obojga. Jakaś szczególna ślepotą zarzucała przed nim coraz głębszą zasłonę na dwuznaczne zachowanie się towarzysza, jakaś dziwna wyrozumiałość patrzyła przez palce na poruszenia żony. Może nigdy dotąd nie miał sposobności podejrzewać Nuny o płochość i dlatego wierzył bezwzględnie? Może nie znał jeszcze demona płci, utajonego pod powierzchnią prostoty, nie wyczuł aż do tej chwili przyczajonej perwersyi i fałszu? Fatalny czar rozpostarł nad tym trojgiem ludzi swe władztwo i pędził na manowce szалу i zapamiętania — wyglądał ze spazmatycznych podrzutów Nuny, zabiegłych krwią oczu jej wielbiciela — kurczył w sardoniczny grymas wargi męża.

— Ha, ha, ha! — śmiał się Godziemba.

— Hi, hi, hi! — wtórowała kobieta.

— He, he, he! — szydził inżynier.

A pociąg mknął dalej bez tchu, wbiegał na wzgórze, ześlizgiwał się w doliny, pruł przestrzeń piersią maszyny. Grzechotały szyny, dudniły koła, kłańcały zworniki...

Koło pierwszej w nocy pani Nuna zaczęła skarżyć się na ból głowy; raziło ją jaskrawe światło lampy. Usłużny Godziemba zapuścił ciemnik. Odtąd jechali w półmroku.

Nastrój konwersacyjny powoli wyczerpywał się, słowa padały rzadziej, przerywane w połowie ziewaniem

inżynierowej; pani widocznie była senną. Przechyliła głowę wstecz i oparła na ramieniu męża; lecz nogi wyciągnięte niedbale w kierunku siedzenia naprzeciw nie straciły kontaktu z sąsiadem, owszem teraz w atmosferze przyćmionej były znacznie swobodniejsze: Godziemba czuł ciągle, jak słodkim swym ciężarem wywierały bezwładny nacisk na jego golenie.

Rastawiecki, wyczerpany podróżą, zwiesił też głowę na piersi i wglębiwszy się między polsstrowania poduszek, zadrzemał. Wkrótce słychać było w ciszy przedziału jego równy, spokojny oddech. Zapanowało milczenie...

Godziemba nie spał. Podrażniony erotycznie, rozpalony jak żelazo w ogniu, przyknął tylko powieki i udawał, że drzemie. Ciało przebiegały gorące strumienie krwi, pulsowały tętna; rozkoszne lenistwo zwichnęło sprężystość członków, znużenie lubieży opanowało mózg.

Nieznacznie położył rękę na nodze Nuny i wyczuwał palcami jej jędrną zwartość. Słodki zawrót przesłonił mgłą oczy. Posunął rękę wyżej, pojąc dotyk jedwabistem jej ciałem....

Nagle zafalowały jej biodra dreszczem rozkoszy; wyciągnęła rękę i zanurzyła mu we włosach. Chwilę trwała milcząca pieśczoła...

Podniósł głowę i spotkał wilgotne spojrzenie dużych, namiętych oczu. Ruchem palca wskazała mu drugą, podwójnie przyćmioną połowę przedziału. Zrozumiał. Opuścił swe miejsce, ostrożnie prześliznął się mimo śpiącego inżyniera i na palcach przeszedł w drugą część coupé. Tutaj, zasłonięty grubym półmrokiem i

przepierzeniem, które sięgało mu piersi, usiadł wzburzony, w oczekiwaniu.

Lecz szelest, jaki mimo wszystko wywołał, zbudził Rastawieckiego. Przetarł oczy i rozejrzał się dokoła. Nuna wtuliwszy się momentalnie w kąt wagonu, zdawała się drzemać — miejsce vis-à-vis było puste.

Inżynier ziewnął przeciągle i wyprostował się.

— Cicho Mieciek! — upominała go z sennym dąsem. — Późno już.

— Przepraszam. Gdzie się podział ten... faun?

— Co za faun?

— Śnił mi się faun z twarzą jegomościa, który siedział naprzeciw nas.

— Musiał wysiąść na którejś stacyi. Masz teraz miejsce wolne. Połóż się wygodnie i śpij. Jestem zmęczona.

— Dobra rada.

Ziewnął szeroko, wyciągnął się na ceratowych poduszkach i podłożył płaszcz pod głowę.

— Dobranoc Nuna.

— Dobranoc.

Zapadła cisza.

Z przytajonym tchem przykucnął Godziemba podczas tej krótkiej sceny za przepierzeniem i przeczekał niebezpieczną chwilę. Stąd, z czarnego kąta, widział tylko parę jałowicznych butów inżyniera, nieruchomo wystających poza brzeg ławki, a na przeciwległym siedzeniu szarą sylwetkę Nuny. Pani Rastawiecka nie ruszała się z miejsca, wciąż w tej samej pozycyi, w jakiej ją zastał mąż po przebudzeniu. Lecz oczy jej otwarte fosforyzowały w

półmroku drapieźnie, dziko, wyzywająco. Tak upłynął kwadrans drogi.

Wtem na tle stukotania wozu zaczęły wydobywać się z ust inżyniera ostre, chrapiące tony. Rastawiecki zasnął na dobre. Wtedy gibka jak kot zesunęła się z poduszek i znalazła w ramionach Godziemby. Pocałunkiem cichym a mocnym złączyli spragnione usta i splekli się w długim, pożądliwym uścisku. Piersi jej młode, w zapędy krwi bogate, przywarły doń palącą pieszczotą i podała mu wonną konchę swego ciała...

Godziemba brał ją. Brał jak płomień w skwarze pożaru, co niszczy i trawi i spala, brał jak wichur w rozpasaniu szarów, swobodny, wolny stepów brat. Drzemiące żądze wybuchły czerwonym krzykiem i potargały wędzidła. Rozkosz, ujęta zrazu w ryzy strachu, tłumiona krygiem ostrożności przerwała w końcu tamy i przelewała się zwycięsko poza brzegi purpurową falą.

Nuna wiła się w spazmach zapamiętania, tarzała w skurczach miłości i bólu bez granic. Ciało jej, skąpane wodą górskich rzek, smagłe od wiatru hał i połonin pachniało wonią ziół, tęgą, surową, zawrotną. Jej młode, miękko na kłębach sklezione biodra otwierały się jak wstydlive pęczki róży i chłoneły w siebie, wsysały miłosną daninę. Płowe warkocze, wyzwolone z krępujących spięć, spadły łagodną linią na ramiona i otoczyły go przetowłosą więźbą. Łkania wstrząsały piersią, spieczona usta wyrzucały jakieś słowa, zaklęcia...

Wtem uczuł Godziemba dotkliwy ból z tyłu głowy i niemal równocześnie usłyszał rozpaczliwy krzyk Nuny.

Półprzytomny odwrócił się i w tejże chwili otrzymał silny raz w policzek. Krew uderzyła mu do głowy, wściekłość wykrzywiła usta. Jak błyskawica odparował najbliższe zamierzone cięcie i zwiniętą pięścią grzmotnął przeciwnika między oczy. Rastawiecki zachwiał się, lecz nie upadł. Rozpoczęła się zażarta walka w półmroku.

Inżynier był mężczyzną rosnym i silnym — mimoto szala zwycięstwa odrazu przechyliła się na stronę Godziemby. W tym człowieku napozór nikłym i słabym obudziła się jakaś nerwowa, występna moc; jakaś zła, demoniczna siła podnosiła jego wątłe ramię, wymierzała ciosy, paraliżowała atak. Oczy dzikie, przekrwione śledziły drapieżne ruchy wroga, odgadywały myśl, uprzedzały zamiar.

Zmagali się w ciszy nocnej, przerywanej hukem pociągu, łoskotem nóg lub przyśpieszonym oddechem ciężko pracujących piersi — borykali się w milczeniu jak dwa odyńce o samicę, przytuloną do wnęki wozu.

Z powodu braku miejsca walka ograniczyła się do nader wąskiej przestrzeni między siedzeniami, przenosząc się kolejno z jednej części przedziału w drugi. Powoli przeciwnicy wyczerpywali się; z czoł uznojonych spływały duże krople potu, ręce omdlałe od razów dźwigały się w górę coraz ociężalej. Raz już Godziemba pośliznął się na podłodze i zwałił na poduszki pod dobrze wymierzonym pchnięciem; lecz w następnej sekundzie poprawił się. Zebrawszy ostatek sił odtrącił kolanem przeciwnika i wściekłym rozmachem rzucił go w przeciwny kąt wagonu. Inżynier zatoczył się jak pijany i ciężarem ciała wywalił drzwi. Zanim zdołał wyprostować się, już Godziemba

pchnął go na platformę. Tu rozegrał się końcowy akt walki, krótki już i nieubłagany.

Inżynier bronił się słabo, z trudem parując szaloną furę tamtego. Krew sączyła mu się z czoła, z ust, z nosa — zalewała oczy.

Nagle Godziemba uderzył weń całym sobą. Rastawiecki zachwiał się, zakołysał i runął z pomostu pod koła. Krzyk jego tępy, chrapliwy zagłuszył stęk szyn, stłumił łoskot pociągu...

Zwycięzca odetchnął. Wciągnął w uznojone piersi chłodne, nocne powietrze, otarł pot z czoła i poprawił zmięte ubranie. Przeciąg pędzącego parowozu rozwiewał mu włosy i studził gorączkę krwi. Wyjął cygarnicę i zapalił papierosa. Czuł się jakoś rzeźko, wesoło.

Spokojnie otworzył zatrzaśnięte podczas walki drzwi i krokiem pewnym wrócił do coupé. Gdy wchodził, objęła go para ramion ciepłych, giętkich jak węzowe sploty. W oczach tliło pytanie:

— Gdzie on? Gdzie mąż?

— Nie wróci już nigdy — odpowiedział obojętnie.

Przytuliła się cała do niego.

— Ty mnie obronisz przed ludźmi. Luby mój!

Objął ją mocno i przycisnął do siebie.

— Nie wiem, co się ze mną dzieje — szeptała oparta o jego piersi. — Czuję taki słodki zawrót głowy. Popełniliśmy grzech wielki, lecz ja się go nie boję przy tobie, mój ty silny. Biedny Mieczek!... Wiesz, to straszne, że mi go nic nie żal? Przecież to okropne! To mój mąż!

Odsunęła się od niego raptownie, lecz spojrzawszy w

jego oczy, pijane żarem miłości, zapomniała o wszystkim. Zaczęli snuć plany na przyszłość. Godziemba był człowiekiem bogatym i niezależnym — nie wiązał go żaden zawód — mogli opuścić kraj na zawsze. Oto wysiądą na najbliższej stacyi, gdzie krzyżują się linie kolejowe i idą na południe. Połączenie będzie znakomite — nad ranem odjeżdża ekspres do Tryjestu; on kupi zaraz bilet i za 12 godzin będą w porcie; stamtąd powiezie ich statek do kraju pomarańcz, gdzie słońca cudny blask majowe złoci drzewa, gdzie morze modrą piersią zmywa żółte piaski, biały las bożyszcz wieńczy skronie wawrzynowym wieńcem.

Mówił tonem spokojnym, pewny swych męskich celów, obojętny na sąd ludzi. Skupioną przedziwnie energią dźwigał jej łamiącą mu się w ramionach postać, gotów do zapasów z całym światem.

Nuna, wsłuchana w dźwięk jego słów, zdawała się marzyć baśń jakąś dziwną, jedyną, opowieść złocistą, przetkaną w perły i bisior...

Donośny gwizd maszyny zapowiedział stacyę, Godziemba drgnął.

— Czas już. Zbierajmy się.

Powstała, zdjęła z siatki płaszczyk podróżny. Pomógł jej ubrać się.

Przez szyby wpadły smugi lamp na dworcu. Godziembą wstrząsnął powtórnie przeciągły dreszcz.

Pociąg stanął. Opuścili przedział i wyszli na peron. Ogarnął ich i wchłonał w siebie tłum ludzi, zgiełk głosów i światła.

Nagle Nuna, oparta na jego ramieniu, zaciążyła mu jak

przeznaczenie. W mgnieniu oka wyczołgała się skądś z załomów duszy groza, obłąkana groza i zjeżyła mu włosy. Zacięte febrycznie usta zadzwoniły na trwogę. Wyszczrzył ostre kły ohydny, podły strach...

Został tylko morderca i nędzny tchórz.

Wśród największej ciżby oswobodził ramię z uścisku Nuny, odsunął się od niej niespostrzeżenie i przez jakiś ciemny korytarz przedostał poza dworzec. Rozpoczęła się szalona ucieczka wśród zaułków nieznanego miasta....



Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Stefan Grabiński](#).

SYGNAŁY.

Na dworcu towarowym, w starym, dawno z obiegu wyszłym wagonie pocztowym zgromadziło się jak zwykle na pogawędkę kilku wolnych od służby kolejarzy. Było trzech kierowników pociągu, starszy kontrolor Trzpień i zastępca naczelnika stacji Haszyczyc.

Ponieważ październikowa noc była dość chłodna, więc zapalili ogień w żelaznym piecyku, którego rurę wypuszczono w otwór dachu. Szczęśliwy ten pomysł zawdzięczało grono inwencji kierownika świty, który osobiście sprowadził rdzą już przeżarty ogrzewacz wyrzucony z jakiejś poczekalni i przystosował go wybornie do zmienionych warunków. Cztery drewniane, podartą ceratą obciążone ławki i stół ogrodowy o trzech nogach i szerokiej jak tarcza płycie uzupełniały urządzenie wnętrza. Nad głowami siedzących zawieszona na haku latarnia rozsiewała po twarzach przymglone światło półmroku.

Tak wyglądało „kasyno kolejowe“ funkcjonariuszy stacji Przełęcz, przygodny przytułek dla bezdomnych kawalerów, cicha, ustronna przystań dla luzujących się w służbie konduktorów.

Tutaj w chwilach wolnych schodzili się strawieni jazdą bywalcy, stare, osiwiiałe „wilki kolejowe“, by wytchnąć po odbytej turze i pogwarzyć z kolegami zawodu. Tutaj w dymie konduktorskich fajek, w czadzie tytoniu, prymki, papierosów tułały się echa opowieści, tysięcznych przygód i anegdot, snuło przedziwo kolejarskiej doli.

I dziś posiedzenie gwarne było i ożywione, zespół wyjątkowo dobrany, sama stacyjna „śmietanka“. Właśnie przed chwilą opowiedział Trzpień ciekawy epizod z własnego życia i zdołał tak przykuć uwagę słuchaczy, że zapomnieli podsycić dogorywujące fajeczki i teraz trzymali je w zębach zimne już i wygasłe jak wystygłe kratery wulkanu.

W wagonie zaległa cisza. Przez zwilżone kroplami dżdżu okno widać było mokre dachy wozów lśniące pod światło reflektorów jak stalowe pancerze. Od czasu do czasu przemknęła latarka budnika, mignął niebieski sygnał maszyny przetokowej; od czasu do czasu rozrywał ciemności zielony refleks zwrotnicy, zagrał czerwony krzyk dresyny; Zdała z poza czarnego szańca drzemiących wozów dochodził stłumiony gwar dworca głównego.

Przez rozstęp między wagonami przeglądała część toru; parę równoległych pasów szyn. Na jeden z nich zajeżdżał powoli wypróżniony już pociąg; znużone całodzienną gonitwą tłoki pracowały leniwo, ospale przerabiając ruch swój na obroty kół.

W pewnej chwili parowóz stanął. A pod piersi maszyny wytoczyły się kłęby oparów i otuliły pękaty kadłub. Światła latarń na czole olbrzyma zaczęły uginać się w tęczowe

glorye, złociste obręcze i przepajać sobą chmurę pary. W jakimś momencie wynikła optyczna złuda: lokomotywa a wraz z nią wagony uniosły się ponad zwały par i tak trwały przez pewien czas zawieszony w powietrzu. Po paru sekundach pociąg wrócił do poziomu szyn, wydzielając z organizmu ostatni wysiąk, by odtąd pograć się w zadumę nocnego spoczynku.

— Piękne złudzenie — zauważył Świta, który od dłuższego już czasu wyglądał przez szybę. — Widzieliście panowie ten pozorny zwód maszyny?

— Rzeczywiście — potwierdziło parę głosów.

— Przypomniało mi to legendę kolejarską słyszaną przed laty.

— Opowiedzcie ją Świta prosimy! — zachęcił Haszycz.

— Prosimy, prosimy!

— Owszem — historia niedługa; można ją streścić w paru słowach.

Krąży pomiędzy kolejarzami jako opowieść o pociągu, który zniknął.

— Jako zniknął? Ulotnił się, czy jak?

— No nie. Zniknął — nie znaczy jeszcze; przestał istnieć! Zniknął — to znaczy: niema go pozornie dla oka ludzkiego — w rzeczywistości zaś gdzieś jest, gdzieś przebywa, chociaż niewiadomo gdzie. — Fenomen ten miał wywołać pewien naczelnik stacyi, jakiś dziwak ogromny a może czarownik. Sztuki dokonał przez szereg w specjalnym porządku po sobie następujących sygnałów. Zjawisko zaskoczyło go zniecacka, jak sam potem utrzymywał. Oto bawił się sygnałami które kombinował w

najrozmaitszy sposób, zmieniając ich następstwo i jakość. Aż raz po wypuszczeniu siedmiu takich znaków, pociąg zajeżdżający na jego stację nagle w pełnym biegu uniósł się w górę równoległe do toru, zawahał parę razy w powietrzu, poczem przechyliwszy się pod kątem, zniknął i rozwiął się w przestrzeni. Odtąd nikt więcej nie widział ani pociągu, ani ludzi, którzy nim jechali. Mówią, że pojawi się z powrotem, gdy ktoś wyda te same sygnały lecz w porządku odwrotnym. Naczelnik niestety wkrótce potem zwaryował i wszelkie próby wydobycia zeń prawdy spełzły na niczem; obłąkaniec zabrał ze sobą klucz do tajemnicy. Chyba wypadek zdarzy, że ktoś trafi na właściwe znaki i wywabi pociąg z czwartego wymiaru na ziemię.

— Awantura, jakich mało — zauważył kierownik Zdański. — A kiedy zaszło to cudowne zdarzenie? Czy legenda nieokreśliła go czasowo?

— Jakich sto lat temu.

Pi, pi! Ładny szmat czasu! W takim razie pasażerowie z wnętrza pociągu byliby w chwili obecnej o cały wiek starsi. Proszę wyobrazić sobie, coby to był za spektakl, gdyby tak dziś, jutro udało się jakiemuś szczęśliwcowi odnaleść apokaliptyczne sygnały i zdjąć siedm pieczęci czaru. Ni stąd, ni zowąd zaginiony pociąg nagle spada z nieba na ziemię wypoczęty należycie po stuletniej windzie i wysypuje z wagonów tłum uginających się pod ciężarem wieku stosunków.

— Zapomniałeś o tem, że w czwartym wymiarze prawdopodobnie nie potrzebują ludzie ani jedzenia ani napoju i nie starzeją się.

— Racya — zawyrokował Haszczyc — święta racya. Piękna legenda kolego bardzo piękna.

Umilkł coś sobie przypominając. Po chwili nawiązując do słów Świty, rzekł w zamyśleniu:

— Sygnały, sygnały.. I ja coś o nich potrafię opowiedzieć — tylko nie legendę, lecz historię prawdziwą.

— Słuchamy! Prosimy! — odezwał się chór kolejarzy.

Haszczyc oparł łokieć o blat stołu, nałożył fajeczkę i wyrzuciwszy pod strop wozu parę mlecznych kręgów, zaczął swoją opowieść.

Pewnego wieczora, koło godziny siódmej zaalarmowano stację Dąbrowa sygnałem: „wozy odbiegły“; młotek dzwonka oddał cztery po cztery uderzenia w odstępach trzech sekund. Zanim naczelnik Pomian zdołał zorientować się, skąd nadszedł sygnał, nadpłynął z przestrzeni znak nowy; odezwały się po trzy uderzenia naprzemian z dwoma dane czterokrotnie. Urzędnik zrozumiał; znaczy to: „wszystkie pociągi zatrzymać“. Niebezpieczeństwo wzmogło się widocznie.

Wnosząc z pochyłości toru i kierunku silnego wiatru wiejącego z zachodu, oderwane wozy biegły naprzeciw pociągu osobowego, który właśnie odchodził ze stacji.

Należało koniecznie pociąg wstrzymać i cofnąć parę kilometrów w stronę przeciwną jakoteż kryć podejrzaną partyę przestrzeni.

Ekspedyent młody, energiczny urzędnik wydał stosowne zarządzenia. Osobowy szczęśliwie zawrócono z drogi a równocześnie wysłano ze stacji maszynę z ludźmi, których zadaniem było wstrzymać biegnące samopas wagony.

Lokomotywa ostrożnie posuwała się w niebezpiecznym kierunku, rozświetlając sobie drogę trzema potężnymi reflektorami; przed nią w odległości 700 m szło dwóch drożników z zapalonymi pochodniami i tropiło uważnie linię.

Lecz ku zdumieniu całego personelu wozów odbiegłych nigdzie po drodze nie spotkano i po dwugodzinnej oględnej do ostatecznych granic jeździe maszyna zawinęła do najbliższej stacyi Głaszów. Naczelnik przyjął ekspedycję z ogromnem ździwieniem. Nikt o sygnałach nic nie wiedział, przestrzeń absolutnie była pewną i żadne niebezpieczeństwo z tej strony nie zagrażało. Zbici z tropu funkcjonariusze wsiedli na maszynę i około jedenastej w nocy powrócili do Dąbrowy.

Tutaj tymczasem zaniepokojenie wzrosło. 10 minut przed powrotem parowozu dzwonki znowu odezwały się, tym razem domagając się przysłania lokomotywy ratunkowej z robotnikami. Urzędnik ruchu był w rozpacz. Zdenerwowany sygnałami płynącymi wciąż od strony Głaszowa przemierzał niespojnymi krokami peron, wychodził na linię, to znów wracał do biura stacyjnego bezradny, przerażony, wylękły.

Istotnie sytuacja była przykra. Alarmowany co kilkanaście minut kolega z Głaszowa odpowiadał zrazu z flegmą, że wszystko w porządku; potem zniecierpliwiony zaczął łajać od półgłówka i waryatów. A tu tymczasem szły sygnały za sygnałami coraz natarczywiej dopraszające się wysyłki wagonów robotniczych.

Czepiając się jak tonący ostatniej deski ratunku,

zatelefonował Pomian w stronę przeciwną do Zbąszyna, przypuszczając niewiadomo dlaczego, że stamtąd idzie alarm. Oczywiście odpowiadano przecząco; i tam wszystko szło wzorowym porządkiem.

— Czy ja zwaryowałem, czy tamci nie przy zmysłach?

— zapytał wkońcu przechodzącego blokmistrza.

— Panie Sroka, czy słyszał pan te przekłete dzwonki?

— Słyszałem panie naczelniku, słyszałem. O znowu! Ki kaduk?

Rzeczywiście nieubłagane młotki tłukły ponownie o żelazne kresy; wołały o pomoc robotników i lekarzy.

Na zegarze mijała wtedy już pierwsza.

Pomian wpadł we wściekłość.

— A co mnie to wszystko wreszcie do stu piorunów obchodzi? Stąd, wszystko w porządku, stamtąd wszystko na miejscu — więc czego chcesz do dyabła ciężkiego? To jakiś błazen głaszowski figle z nami stroi, wywracając do góry nogami całą stację! zrobię doniesienie i kwita!

— Nieprzypuszczam panie naczelniku — wtrącił spokojnie asystent — sprawa za poważna, by ją ujmować z tego punktu widzenia. Raczej przyjąć trzeba jakąś omyłkę.

— Ładna omyłka! Czyż nie słyszałeś kolega, co odpowiedzieli mi z obu stacji najbliższych? Chyba niepodobna przypuścić jakichś przypadkowo zabłąkanych sygnałów z dalszych przystanków, o którychby tamci nie wiedzieli. Jeśli dotarły do nas, musiały wpierw przejść przez ich rejon. Więc?

— Więc prosty wniosek, że pochodzą od jakiegoś droźnika na przestrzeni między Dąbrową a Głaszowem.

Pomian spojrział na podwładnego z uwagą;

— Od któregoś z budników powiada pan? Hm... może. Ale poco? Dlaczego? Nasi ludzie zbadali przecież całą tę linię krok za krokiem i nieznaleźli nic podejrzanego.

Urzędnik rozkrzyżował ramiona;

Tego to już nie wiem. Rzecz można zbadać później w porozumieniu z Głaszowem. W każdym razie sędzę, że możemy spać spokojnie i nie zważać na dzwonki. Wszystko, co należało do nas, zrobiliśmy — przestrzeń przeszukana dokładnie, na linii niema ani śladu niebezpieczeństwa, którem nam grożą. Uważam te znaki poprostu za t. zw. „fałszywy“ alarm“.

Spokój asystenta podziałał kojąco na naczelnika. Pożegnał kolegę i zamknął się na resztę nocy w biurze.

Lecz służba niełatwo przeszła nad tem do porządku. Ludzie skupili się na bloku koło zwrotniczego i coś szeptali między sobą tajemniczo; od czasu do czasu, gdy ciszę nocy przerwał nowy podrzut dzwonka, pochylone ku sobie głowy kolejarzy zwracały się w stronę słupa sygnałowego i kilka par oczu rozszerzonych zabobonną trwogą śledziło ruchy kujących młotków.

— Zły znak — mrucał strażnik Grzela — zły znak!

I tak grały sygnały aż do pierwszego brzasku. Lecz im bliżej było rana, tem dźwięki stawały się słabsze, niklejsze, w tem dłuższych odstępach czasu po sobie, aż zgłuchły bez echa przed świtem. Ludzie odetchnęli, jakby zmora nocna usunęła się z piersi.

Nazajutrz Pomian zwrócił się do władz w Ostoi zdając dokładny raport z zajęć ubiegłej nocy. Nadeszła

telegraficznie odpowiedź kazała mu czekać na przybycie specjalnej komisji, która miała sprawę gruntownie zbadać.

W ciągu dnia ruch odbywał się regularnie i wszystko miało przebieg normalny. Lecz z uderzeniem godziny siódmej wieczór odezwały się znowu alarmujące sygnały w tym samym co wczoraj porządku; więc najpierw sygnał „wozy odbiegły“, potem rozkaz „wszystkie wozy zatrzymać“, wreszcie hasło: „przysłać lokomotywę z robotnikami“ i rozpaczliwy krzyk o pomoc „przysłać maszynę z robotnikami i lekarzem“. Charakterystycznym było stopniowanie w doborze znaków, w których każdy następny zdradzał wzmożenie się urojonego niebezpieczeństwa. Sygnały uzupełniały się oczywiście, tworząc rozerwany przestankami łańcuch snujący jakąś złowieszczą opowieść o domniemanem nieszczęściu.

A jednak rzecz wyglądała na drwiny lub głupi figiel.

Naczelnik wściekał się, służba zachowywała różnie; jedni brali historię z humorystycznego punktu widzenia i śmiali się z zapamiętałych dzwonek, inni zegnali przesądnie. Blokowy Zdun utrzymywał półgłosem, że dyabeł siedzi w słupie sygnałowym i kłapie dzwonkiem na przekorę.

W każdym razie nikt znaków nietłómaczył na seryo i na stacyi nie poczyniono odpowiednich zarządzeń. Alarm trwał z przerwami aż do rana i dopiero, gdy na wschodzie przetarła się, bladożółta linia, dzwonki uspokoiły się.

Nareszcie po bezsennie spędzonej nocy doczekał się naczelnik przybycia komisji koło dziesiątej nad ranem. Przyjechał z Ostoi jaśnie wielmożny nadinspektor Turner,

wysoki, szczupły, ze zmrużonymi złośliwie oczkami, pan z całym sztabem urzędników. Zaczęło się śledztwo.

Panowie „z góry“ mieli już ustalony pogląd na sprawę. Sygnały zdaniem pana nadinspektora pochodziły z budki któregoś z drożników na linii Dąbrowa — Głazów. Chodziło tylko o to, z czyjej. Według etatu było na tej przestrzeni budników dziesięciu; z tej liczby należało wydzielić ośmiu, którzy nie posiadali aparatu do dawania sygnałów tego typu. Podejrzenie padło zatem na pozostałych dwóch. Inspektor postanowił wy badać obu na miejscu ich przeznaczenia.

Po sutym obiedzie u pana naczelnika wyruszył z Dąbrowy po dwunastej w południe specjalny pociąg z komisją śledczą. Po półgodzinnej jeździe panowie wysiedli przed budką drożnika Dziwoty; był to jeden z podejrzanych.

Biedna człeczyna przerażony najściem nieoczekiwanych gości zapomniał języka w gębie i na pytania odpowiadał jakby zbudzony z głębokiego uśpienia. Po przeszło godzinnem badaniu doszła komisja do przekonania, że Dziwota Bogu ducha winien i o niczem nie ma pojęcia.

Więc by nie tracić czasu pan nadinspektor zostawił go w spokoju, zalecając swoim ludziom dalszą jazdę do ósmego strażnika, na którym teraz skupiła się jego śledcza uwaga.

W 40 minut potem stanęli na miejscu. Na spotkanie nie wybiegł nikt. To zastanowiło. Posterunek wyglądał jakby wymarły; żadnej poszlaki życia w obejściu, żadnego śladu żyjącej istoty wokoło. Nie odzywały się patryarchalne głosy gospodarstwa domowego, nie zapał kogut, nie zrzędziła

kura.

Po stromych, w parę poręczy ujętych schodkach weszli na wzgórze, na którem wznosił się domek budnika Jaźwy. U wejścia powitały niezliczone roje much złych, zjadliwych, brzęczących; owady jakby wściekle na intruzów rzuciły się do rąk, do oczu, do twarzy.

Zapukano do drzwi. Z wnętrza nikt nie odpowiedział. Jeden z kolejarzy nacisnął kłamkę — drzwi były zamknięte.

— Panie Tuciak — skinął Pomian na ślusarza stacyjnego — wytrychem go.

— Duchem, panie naczelniku.

Zazgrzytało żelazo, zachrząścił zamek i ustąpił.

Inspektor wyważył nogą drzwi i wszedł do środka. Lecz w tejże chwili cofnął się z powrotem na podwórze, przytknął chusteczkę do nosa. Z wnętrza uderzył okropny zaduch. Jeden z urzędników odważył się przekroczyć próg i zajrzał w głąb.

Przy stole pod oknem siedział budnik z głową spuszczoną na piersi, z ręką prawą opartą palcami na guziku aparatu sygnałowego.

Urzędnik zbliżył się do stołu i zbladłszy zawrócił ku wyjściu. Krótkie spojrzenie rzucone na rękę droźnika przekonało, że nie palce ujmowały taster, lecz trzy nagie, ogołoczone z mięsa piszczele.

W tej chwili siedzący przy stole zachwiał się i zwałił się jak kłoda na ziemię; poznano trupa Jaźwy w stanie zupełnego rozkładu. Obecny lekarz stwierdził śmierć zaszłą przynajmniej dziesięć dni temu.

Spisano protokół i pochowano na miejscu zwłoki,

rezygnując z obdukcji z powodu silnie posuniętego zepsucia.

Przyczyny śmierci nie wykryto. Wypytywani o to chłopci z sąsiedniej wsi nie umieli dać żadnych wyjaśnień prócz tego, że już od dłuższego czasu Jaźwy nie widywano. W dwie godziny później wróciła komisja do Ostoi.

Naczelnik Dąbrowy miał tej nocy i następnych sen spokojny i niezmacony sygnałami. Lecz w tydzień potem zaszła na linii Dąbrowa — Głaszów straszliwa katastrofa. Oderwane nieszczęśliwym trafem wagony wpadły na pociąg pospieszny dążący z przeciwnej strony i zdruzgotały go doszczętnie. Zginął cały personel służbowy i osiemdziesięciu kilku podróżnych.



Tekst jest **własnością publiczną (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Stefan Grabiński](#).

ŚLEPY TOR.

W pociągu osobowym zmierzającym późną, jesienną porą do Gronia ścisk był ogromny; przedziały pozapełniane po brzegi, atmosfera parna, gorąca. Z braku miejsca zatarły się różnice klas, siedziano i stano, gdzie się udało, prawem prastarego kaduka. Nad chaosem głów paliły się lampy małe, przyćmionem światłem, które spływało z pułapów wagonowych na twarze znużone, profile wymięte. Dym tytoniu unosił się kwaśnym wyziewem wyciągał pod długi, siwawy sznur w kurytarzach, kłębił tumanami w czeluściach okien. Jednostajny łomot kół nastrojał nasennie, przytwierdzał monotonem stukaniem drzemocie, rozpanoszyła się po wozach. Tak-tak-tak... Tak-tak-tak...

Tylko jeden z przedziałów klasy III., w piątym wozie od końca nie poddawał się ogólnemu nastrojowi; zespół gwarny tu był, rzeźki, ożywiony. Uwagę podróżnych opanował wyłącznie mały, garbaty człowieczek w mundurze kolejarza niższego typu, który opowiadał coś z przejęciem, podkreślając słowa gestykulacją barwną i plastyczną. Skupieni wkoło słuchacze nie spuszczaali zeń oczu; niektórzy powstali z miejsc dalszych i zbliżyli się do

ławki środkowej, by lepiej słyszeć; paru ciekawych wychyliło głowy przez drzwi od sąsiedniego przedziału.

Kolejarz mówił. W wypłowie światła lampy drgającej w podrzutach wozu poruszała się głowa jego duża, niekształtna, w wichurze siwych włosów taktem dziwnym. Szeroka twarz załamana nieregularnie na linii nosa to bladła, to nabiegła purpurą w rytm krwi burzliwy: wyłączna, jedyna, zacięta twarz fanatyka. Oczy ślizgające się w roztargnieniu po obecnych gorzały żarem myśli upartej, od lat syconej. A jednak człowiek ten miewał momenty piękne. Chwilami zdało się, znikął garb i szpetota rysów a oczy nabierały szafirowego blasku, pijane natchnieniem i postać karła tchnęła szlachetnym, porywającym za sobą zapałem. Za chwilę przeobrażenie gasło, rozwadniało się i w gronie słuchaczy siedział tylko zajmujący lecz potwornie brzydki narrator w kolejowej bluzie.

Profesor Ryszpans, chudy, wysoki pan w jasnopopielatym kostymie, z monoklem w oku przechodząc dyskretnie przez zasłuchany przedział, nagle zatrzymał się i spojrzał uważnie na mówiącego. Coś go zastanowiło; jakiś zwrot wyrzucony z ust garbusa przykuł go na miejscu. Oparł się łokciem o żelazną sztabę przegródki, zacisnął monokl i słuchał.

— Tak, moi państwo — mówił kolejarz — w ostatnich czasach istotnie zagęszczają się zagadkowe zdarzenia w życiu kolejowym. Wszystko to zdaje się mieć swój cel, zmierza ku czemuś oczywiście z nieubłaganą konsekwencją.

Zamilkł na chwilę, zdmuchnął popiół z fajeczki i zagadnął:

— A o „wagonie śmiechu“ nie słyszał nikt z szanownych gości?

— Istotnie — wmieszał się profesor — czytałem przed rokiem coś o tem w gazetach lecz pobieżnie i nie przypisując rzeczy żadnej uwagi; historia zakrawała na dziennikarską plotkę.

— Gdzie tam łaskawy panie! — zaprzeczył namiętnie kolejarz, zwracając się w stronę nowego słuchacza. — Ładna mi plotka! Prawda oczywista, fakt stwierdzony zeznaniami naocznych świadków. Rozmawiałem z ludźmi, którzy sami tym wagonem jechali. Odchorowali jazdę po tygodniu każdy.

— Proszę opowiedzieć nam dokładniej — odezwało się parę głosów — ciekawa historia!

— Nie tyle ciekawa, ile wesoła — poprawił karzeł, potrząsając lwią swą czupryną. — Oto krótko i węzłowato wncił się rok temu pomiędzy solidnych i poważnych towarzyszy jakiś krotochwilny wagon i grasował przez dwa tygodnie z górą po liniach kolejowych ku uciezce i utrapieniu ludzi. Krotochwilność bowiem była podejrzanej natury i czasami wyglądała na złośliwość. Ktokolwiek wsiadł do wozu, wpadał odrazu w nader pogodny nastrój, który niebawem przechodził w wybujałą wesołość. Jakby po zażyciu gazu rozweselającego ludzie wybuchali śmiechem bez żadnego powodu, trzymali się za brzuchy, gięli do ziemi w potokach łez; wkońcu śmiech przybierał groźny charakter paroksyzmu: pasażerowie ze łzami

demonicznej radości wili się w konwulsjach bez wyjścia, jak opętani rzucali się po ścianach i rehocząc jak stado bydła, toczyli z ust pianę. Co parę stacyi trzeba było wynosić z wozu po kilku tych nieszczęśliwych szczęśliwców, gdyż zachodziła obawa, że w przeciwnym razie poprostu pękną od śmiechu.

— Jakże reagowały na to organa kolejowe? — zapytał, korzystając z przerwy krępy, o energicznym profilu inżynier Zniesławski.

— Zrazu sądzili ci panowie, że wchodzi w grę jakaś zaraza psychiczna, która z jednego gościa przenosiła się na innych. Lecz gdy podobne wypadki zaczęły się powtarzać codziennie i zawsze w tym samym wozie, wpadł jeden z lekarzy kolejowych na genialny koncept. Przypuszczając, że w wagonie tkwi gdzieś lasecznik śmiechu, który ochrzcił naprędce imieniem *bacillus ridiculentus* lub też *bacillus gelasticus primitivus*, poddał zapowietrzony wóz bezwzględnej dezynfekcyi.

— Ha, ha, ha! — huknął nad uchem nieźrównanego causeura zawodowo interesowany sąsiad, jakiś lekarz z W.

— Ciekaw jestem, jakiego też użył środka odkażającego: lysolu czy karbolu?

— Pomylił się szanowny pan; żadnego z wymienionych. Oblano nieszczęsny wagon od dachu po szyny specjalnem przetworem wynalezionem ad hoc przez wspomnianego doktora; była to tak nazwana przez wynalazcę: *lacrima tristis* czyli łza smutnego.

— Chi, chi, chi! — krztusiła się w kącie jakaś dama. — Co za złoty z pana człowiek! Chi, chi, chi! Łezka

smutnego!

— Tak łaskawa pani — ciągnął niewzruszony, bo wkrótce po puszczeniu w ponowny obieg ozdowieńca kilku podróźnych odebrało sobie w nim życie wystrzałem z rewolweru. Takie eksperimenta mszczą się łaskawa pani — dokończył kiwając smutno głową. — Radykalizm w takich razach niezdrowy.

Na chwilę zapadło milczenie.

— W parę miesięcy potem — podjął gawędę funkcjonaryusz — rozeszły się po kraju alarmujące pogłoski o pojawieniu się t. zw. „wozu transformacyjnego“ — currus transformans, jak go przezwał jakiś filolog, podobno jedna z ofiar nowej plagi. Pewnego dnia zauważono dziwne zmiany w powierzchowności kilkunastu pasażerów, którzy odbywali podróż w tym samym fatalnym wozie. Oto rodzina i znajomi oczekujący na dworcu, nie mogli w żaden sposób przyznać się do witających ich serdecznie osobników, którzy wysiedli z pociągu. Pani sędzina K., młoda i powabna brunetka ze zgrozą odepchnęła od siebie ospałego jegomościa z potężną łysiną, który utrzymywał uparcie, że jest jej mężem. — Panna W. śliczna, 18 letnia blondynka dostała spazmów w objęciach siwiutkiego jak gołąb i podagrycznego staruszka, który zgłosił się do niej z bukietem azalii jako „narzeczony“. Natomiast podeszła już w lecjach pani radczyni Z. z miłym zdumieniem znalazła się u boku eleganckiego młodzieńca, odświeżonego cudownie o lat z górą 40, radcy apelacyjnego i małżonka.

W mieście na wiadomość o tem zrobił się kolosalny

huczek; o niczem innym nie mówiono, jak tylko o zagadkowych metamorfozach. Po miesiącu nowa sensacja: zaczarowani panowie i panie powoli odzyskali pierwotny swój wygląd, wracając do uświęconej losem powierzchowności.

— Czy i tym razem odkażono wagon? — zapytała z zajęciem jakaś dama.

— Nie łaskawa pani — zaniechano tych środków ostrożności. Owszem dyrekcyja otoczyła wóz szczególną pieczołowitością, gdyż okazało się, że kolej będzie mogła ciągnąć zeń kolosalne zyski. Zaczęto bić nawet specjalne bilety wstępu do cudownego wozu t. zw. bilety transformacyjne. Popyt naturalnie był ogromny. W pierwszej linii zgłaszać się zaczęły całe kolumny staruszek, brzydkich wdów i starych pań, domagając się natarczywie kart jazdy. Kandydatki dobrowolnie podbijały cenę, płaciły w trój- i czwórmasób, przekupywały urzędników, konduktorów nawet tragarzy. We wozie, przed wozem, i pod wozem rozgrywały się dramatyczne sceny, przechodzące niekiedy w krwawe bitki. Kilka sędziwych niewiast w jednej z utarczek wyzionęło ducha. Straszny przykład nie ostudził jednak żądzy odmłodzenia; masakra trwała w dalszym ciągu. Wkońcu całej tej awanturze położył kres sam cudowny wóz; oto po dwutygodniowej transformacyjnej działalności nagle utracił dziwną swą moc. Stacye przybrały wygląd normalny; kadry roznamiętnionych staruszek i starców odpłynęły z powrotem w zacisza domowych ognisk i zapiecków.

Zamilkł i wśród gwaru rozbudzonych głosów, śmiechów

i dowcipów na temat poddany przez opowieść wymknął się chyłkiem z coupeé.

Ryszpans szedł w ślad za nim jak cień. Zajął go ten kolejarz w pocerowanej na łokciach bluzie wyrażający się poprawniej niż niejeden przeciętny inteligent; coś go ciągnęło ku niemu, jakiś tajemniczy prąd sympatyj pchał w stronę oryginalnego kaleki.

Na kurytarzu klasy I. położył mu lekko rękę na ramieniu:

— Przepraszam pana. Czy mogę prosić na słów parę rozmowy?

Garbaty uśmiechnął się zadowolony.

— Owszem. Nawet wskażę panu miejsce, gdzie będziemy mogli swobodnie pogadać. Wóz ten znam na wylot.

I pociągnąwszy profesora za sobą, skręcił w lewo, tam, gdzie pierzeja przedziałów załamując się, przechodziła w kurytarzyk wiodący na platformę. Tu wyjątkowo nie było w tej chwili nikogo. Kolejarz wskazał towarzyszowi ścianę zamykającą ostatnie coupé.

— Widzi pan ten mały gzemsik tu w górze? To jest zamaskowany zamek; skrytka dla dostojników kolei w wyjątkowych wypadkach. Zaraz ją oglądniemy dokładnie.

Odsunął gzems, wy dobył z kieszeni konduktorski klucz i założywszy w otwór, przekręcił. Wtedy gładko odwinęła się w górę stalowa stora, odsłaniając malutki, wytwornie urządzony przedział.

— Proszę do środka — zachęcił kolejarz.

Po chwili siedzieli na miękkich, polstrowanych poduszkach, odcięci od gwaru i ścisku zapuszczoną z

powrotem storą.

Funkcjonaryusz patrzył na profesora z wyrazem oczekiwania na twarzy. Ryszpans nie spieszył z pytaniem. Zmarszczył czoło, zasadził mocniej monokl i pogrążył się w zadumę. Po chwili zaczął, nie patrząc na towarzysza:

— Uderzył mnie kontrast między humorystyką opowiedzianych przez pana zdarzeń a poważnem naświetleniem, które ją poprzedziło. O ile sobie przypominam, powiedział pan, że w ostatnich czasach zdarzają się na kolejach zagadkowe objawy, które zdają się zmierzać ku jakiemuś celowi. Jeśli dobrze zrozumiałem ton słów, mówił pan na seryo, miało się wrażenie, że owe ukryte cele uznaje pan za ważne może nawet przełomowe...

Twarz garbusa rozjaśnił tajemniczy uśmiech:

— I nie pomylił się pan... Kontrast zniknie, jeżeli owe „wesołe“ objawy pojmiemy jako szyderskie wyzwanie — prowokację, jako przygrywkę do innych, głębszych, niby próbę sił wyzwalającej się nieznaney energii.

— All right! odchrząknął profesor. — De sublime an ridicule il n’y a qu’un pas. Domyśliłem się czegoś podobnego. Inaczej nie byłbym wszczynał dyskusyi.

— Należy pan do nielicznych wyjątków; wogóle dotąd znalazłem w pociągu tylko siedm osób, które głębiej pojęły te historye i oświadczyły gotowość zapuszczenia się wraz ze mną w labirynt konsenkwencyi. Może w panu pozyskam ósmego ochotnika?

— To będzie zależało od stopnia i jakości objaśnienia, które mi pan dłużny.

— Oczywiście. Po to tutaj jestem. — Przedewszystkiem powinien pan wiedzieć, że tajemnicze wagony wyszły na linię wprost ze ślepego toru.

— Co to ma znaczyć?

— To znaczy, że przed puszczeniem ich w obieg odpoczywały czas dłuższy na ślepy m torze i oddychały jego specyficzną atmosferą.

— Nie rozumiem. Przedewszystkiem, co to jest ślepy tor?

— Uboczna wzgardzona odrośl szyn, samotne odgałęzienie torów, rozciągnięte na przestrzeni 50 — 100 m, bez wyjścia, bez wylotu, zamknięte sztucznem wzgórzem i rampą kresową. Niby uschła gałąź zielonego drzewa, niby kikut okaleczającej ręki...

Ze słów kolejarza płynął głęboki, tragiczny liryzm. Profesor patrzył nań zdumiony.

— Wokół zaniedbanie. Zielska przerastają zardzewiałe szyny; bujne, polne trawy, łoboda, rumian dziki i oset. Z boku odpada na poły strupieszala zwrotnica z wybitem szkłem latarni, której nocą nie ma komu zapalić. Bo i poco? Tor przecież zamknięty; nie ujedziesz nim dalej jak 100 m. Opodal na liniach wre ruch parowozów tętni życie, pulsują kolejowe arterye. Tu wiecznie cicho. Czasem zabłąka się w drodze maszyna przetokowa, czasem wtoczy niechętnie wóz odszybowany, niekiedy wjedzie na dłuższy spoczynek zniszczony jazdą wagon; zatoczy się ciężko, leniwo i stanie niemy na całe miesiące lub lata. W zmurszałym dachu ptaszek uwije gniazdko i wykarmi młode, w rozpadlinie pomostu rzuci się zielsko, wytryśnie gałązka wikliny. Nad

rudawą taśmą szyn pochyła zwichnięte ramiona popsuty semafor i błogosławi smętkowi ruiny...

— Głos kolejarza załamał się. — Profesor odczuł jego wzruszenie; liryzm opisu zdumiał go i przejął zarazem. Lecz skąd ta nuta rzewności?

— Odczułem — podjął po czasie — poezję ślepego toru lecz nie umiem wytłómaczyć sobie, jak atmosfera jego może wywołać wspomniane objawy.

— Z poezyi owej — objaśniał garbaty — wieje głęboki motyw tęsknoty — tęsknoty ku nieskończonym dalom, do których dostęp zamknięty kopcem granicznym, zagwoźdżony drewnem rampy. Tuż obok pędzą pociągi, pomykają w szeroki, piękny świat maszyny — tu tępa granica trawiastego wzgórza. Tęsknota upośledzenia. — Czy rozumie pan? — Tęsknota bez nadziei ziszczeń rodzi pogardę i nasycą się sobą, aż przerośnie mocą pragnień szczęśliwą rzeczywistość... przywileju. Rodzą się utajone siły, gromadzą od lat nieiszczone moce. Kto wie, czy nie wybuchną żywiołem? A wtedy prześcigną codzienność i spełnią zadania wyższe, piękniejsze niż rzeczywistość. Sięgną poza nią...

— A czy można wiedzieć gdzie się znajduje ów tor? Przypuszczam, miał pan na myśli pewien ściśle określony?

— Hm — uśmiechnął się — to zależy. Zapewne jakiś jeden był punkt wyjścia. Lecz ślepych torów pełno jest wszędzie przy każdej stacyi. Może być ten, może być ów.

— Tak, tak, ale mnie chodzi o ten, z którego wyjechały na linię owe wagony.

Garbus pokręcił niecierpliwie głową:

Nie rozumiemy się. Kto wie, może tajemniczy tor da się odkryć wszędzie? Tylko trzeba go umieć odszukać, wytropić — trzeba umieć wpaść nań, zajechać, wdroyć się jego koleinę. — Dotąd udało się to jednemu...

Przerwał, wpatrując się w profesora głębią fiołkowo opalizujących oczu.

— Komu? — zapytał tamten machinalnie.

— Drożnikowi Wiórowi. Wawrzyniec Wiór, garbaty, upośledzony przez naturę okrutnie drożnik jest dziś królem ślepych torów, ich smutną, tęskniącą do wyzwolin duszą.

— Zrozumiałem — szepnął Ryszpans.

— Drożnik Wiór — kończył namiętnie kolejarz — niegdyś uczony, myśliciel, filozof — rzucony igraszką losu pomiędzy szyny wzgardzonego toru — dobrowolny strażnik zapomnianych linii — fanatyk wśród ludzi...

Powstali, zmierzając ku wyjściu. Ryszpans podał mu rękę.

— Zgoda — rzekł mocno.

Drzwi odsunęły się i wyszli na kurytarz.

— Do rychłego widzenia — pożegnał garbus — idę na dalszy połów dusz. Pozostały mi jeszcze trzy wozy...

I zniknął w drzwiach platformy przejściowej.

Profesor zbliżył się w zadumie do okna, zaciął cygaro i zapalił...

Zewnątrz panowała ciemność. Tylko światła lamp wyzierające w przestrzeń czworokątami okien przesuwały się szybko po zboczach nasypu w przelotnym wywiadzie: pociąg przebiegał jakieś puste łąki i pastwiska...

Jakiś mężczyzna zbliżył się do profesora, prosząc o

„ogień“, Ryszpans zdmuchnął popiół z cygara i grzecznie podał je nieznanemu.

— Dziękuję. Inżynier Zniesławski — przedstawił się.
Zawiązała się rozmowa.

— Czy nie zauważył pan, jak się nagle wyludniło? — zapytał inżynier, rzucając wkoło okiem; — Korytarz całkiem wolny. Zaglądałem do dwóch przedziałów, by z przyjemnością stwierdzić, że jest w nich sporo miejsca.

— Ciekaw jestem — podchwycił Ryszpans — jaki też stan rzeczy po innych klasach.

— Możemy oglądnąć!

I przeszli parę wozów ku końcowi pociągu. Jakoż wszędzie zauważyli znaczny ubytek podróżnych.

— To dziwne — rzekł profesor — przed pół godziną jeszcze tłok był okropny, w przeciagu zaś tego krótkiego czasu pociąg zatrzymał się tylko raz.

— Rzeczywiście — potwierdził Zniesławski. — Widocznie wtedy wysiadło tyle osób. Jak na jedną stację i to drugorzędną odpływ zagadkowy.

Usiedli na jednej z ławek klasy II. Pod oknem rozmawiało półgłosem dwóch mężczyzn. Pochwycili urywek rozmowy:

— Wie pan — mówił jeden z pasażerów o biurokratycznym wyglądzie — coś mię kusi do opuszczenia tego pociągu.

— Szczególne! — odpowiedział drugi — mnie również. Głupie uczucie. Powinienem być dzisiaj koniecznie w Zaszumiu i specjalnie jadę w tym kierunku — mimoto wysiądę już na najbliższej stacji i zaczekam na pociąg

poranny. Co za mitręga i strata czasu.

— Pójdę za pańskim przykładem, chociaż i mnie to nader nie na rękę. Spóźnię się do biura o parę godzin. Lecz nie mogę inaczej. Ja tym pociągiem dalej nie pojedę.

— Przepraszam — wmieszał się inżynier. — Co właściwie zmusza panów do tak niewygodnego dla nich opuszczenia pociągu?

— Nie wiem — odpowiedział urzędnik. — Jakieś nieokreślone uczucie.

— Niby wewnętrzny nakaz — objaśniał towarzysz.

— A może duszna, niewytlómaczona trwoga? — poddał Ryszpans, przymrużając trochę złośliwie oko.

— Może — odparł spokojnie pasażer — lecz nie wstydzę się tego. Uczucie, którego doznaję w tej chwili, jest tak specyalne, tak *sui generis*, że nie pokrywa się właściwie z tem, co zwykliśmy nazywać strachem.

Zniesławski spojrział porozumiewawczo na profesora.

— Może przejdziemy dalej?

Po chwili znalezli się w przerzedzonym mocno przedziale klasy III. W dymie cygar siedziało tu trzech mężczyzn i dwie kobiety. Jedna z nich, hoża mieszcanka mówiła do towarzyszki:

— Dziwna ta pani Zietulska! — Jechała ze mną do Żupnika, a tymczasem wysiadła w połowie drogi, 4 mile przed metą.

— Nie mówiła dlaczego? — badała druga kobieta.

— Owszem, lecz nie wydaje mi się, by tak było na prawdę. Podobno nagle zasłabła i nie mogła dalej jechać pociągiem. Bóg raczy wiedzieć, co to takiego.

— A tych paru jegomościów, którzy sobie obiecywali tak głośno zabawę w Groniu jutro rano, czy nie wysiadło już w Pytomiu? Już poza Turoniem przycichli jakoś i zaczęli się kręcić niespokojnie po wozie — a potem nagle jakby ich wymiotło z przedziału. Wie pani — i mnie tu jakoś nieswojo...

W sąsiednim wozie wyczuli obaj mężczyźni nastrój zdenerwowania i niepokoju. Ludzie gwałtownie ściągali pakunki z siatek, wyglądali niecierpliwie przez okna, cisnęli się jeden przez drugiego do wyjścia na platformę.

— Co u licha? — mruknął Ryszpans — całkiem wytworne towarzystwo — sami eleganccy panowie i damy. Dlaczego ci ludzie chcą koniecznie wysiąść na najbliższej stacyi? O ile sobie przypominam, jest to jakaś zapadła miejscina.

— Istotnie — przyznał inżynier — jest nią Drohiczyn, przystanek śródpolny — świat zabity deskami. Podobno jest tylko stacya, poczta i posterunek żandarmeryi. Hm... ciekawe! Co oni tam będą robili po nocy?

Spojrzał na zegarek:

— Dopiero druga nad ranem.

— Hm, hm... — pokręcił głową profesor. — Przypomniały mi się ciekawe wnioski, które wyciągnął pewien psycholog po przestudyowaniu statystyki strat w katastrofach kolejowych.

— Proszę — do jakich też doszedł wyników?

— Stwierdził, że stosunkowo straty są znacznie mniejsze, niżby można przypuszczać. Statystyka wykazuje, że pociągi, które uległy katastrofie, były zawsze słabiej

obsadzone niż inne. Widocznie ludzie wysiadali w porę lub też wogóle rezygnowali z jazdy fatalnym pociągiem; innych zatrzymywała przed samą podróżą jakaś niespodziewana przeszkoda; część ulegała nagłej niedyspozycji lub dłuższej chorobie.

— Rozumiem — rzekł Zniesławski — wszystko zależało od nasilenia instynktu samozachowawczego, który stosownie do napięcia przybierał rozmaite odcienie; u jednych silniejsze, u drugich słabiej podkreślone. — Więc pan sądzi, że i to, co się tutaj widzi i słyszy, można wytłómaczyć w podobny sposób?

— Nie wiem. Nasunęło mi się tylko takie skojarzenie. Zresztą gdyby nawet, to rad jestem, że nadarzyła się sposobność obserwowania fenomenu. Właściwie powinienem był wysiąść na poprzedniej stacji, która była celem mej podróży. Jak pan widzi, jadę dalej „z własnej pilności“.

— To pięknie z pańskiej strony — podkreślił z uznaniem inżynier — ja też wytrzymam na posterunku. — Chociaż, przyznam się panu, od pewnego czasu doznaję również szczególniejszego uczucia: jest to niby niepokój, niby napięte oczekiwanie. Czy pan rzeczywiście wolny jest od tych sensacji?

— No... nie — wycedził powoli profesor. Ma pan słuszość. Coś jest w powietrzu; nie jesteśmy tutaj całkiem normalni. Lecz u mnie skutek objawia się zainteresowaniem, co będzie dalej, co się z tego wywiąże.

— W takim razie stoimy obaj na jednej platformie. Sądzę nawet, że mamy kilku towarzyszy. Wpływ Wióra, jak

widzę, zatoczył pewne kręgi.

Twarz profesora drgnęła:

— Więc i pan zna tego człowieka?

— Naturalnie. Wyczułem w panu jego stronnika. Niech żyje bractwo ślepego toru!

Okrzyk inżyniera przerwał zgrzyt hamowanych kół wozu: pociąg zatrzymał się przed stacją. Przez otwarte drzwi wagonów wysypały się tłumy podróżnych. W bladym świetle lamp stacyjnych widać było twarze urzędnika ruchu i jedyne na cały przystanek zwrotniczego, którzy ze zdumieniem obserwowali niezwykły w Drohiczyńce napływ gości.

— Panie naczelniku — pytał pokornie jakiś elegancki pan w cylindrze — będzie tu gdzie przenocować?

— Chyba na bloku na podłodze — proszę wielmożnego pana — wyręczył w odpowiedzi zwrotniczy.

— Będzie trudno z noclegiem, łaskawa pani — tłumaczył jakiejś damie w gronostajach „naczelnik“. — Do najbliższej wsi dwie godziny drogi.

— Jezus, Marya! — Tośmy wpadli! — biadał w tłumie cienki, niewieści głosik.

— Jazda! — rozkazał z niecierpliwionym urzędnik.

— Jazda, jazda! — powtórzyły w ciemności dwa niepewne głosy.

Pociąg ruszył. W chwili gdy już stacja zasuwiała się w mroki nocy Zniesławski wychylony przez okno wskazał profesorowi grupę ludzi z boku peronu:

— Widzi pan tych na lewo, pod ścianą?

— Oczywiście to są konduktorzy naszego pociągu.

— Cha, cha, cha!... Panie profesorze, periculum in mora! Szczury opuszczają statek. Zły znak!

— Cha, cha, cha! — wtórował profesor. — Pociąg bez konduktorów! Hulaj dusza po wagonach!

— No, no — uspokajał Zniesławski — tak źle nie jest. Zostało dwóch. Patrz pan — tam jeden zamknął w tej chwili przedział — drugiego widziałem w momencie odjazdu, jak wskakiwał na stopień.

— Stronnicy Wióra — objaśnił Ryszpans. — Wartałoby się przekonać, ile też osób, pozostało w pociągu.

Przeszli parę wozów. W jednym zastali zakonnik o ascetycznym wyrazie twarzy zatopionego w modlitwie, w innym dwóch mężczyzn starannie ogolonych wyglądających na aktorów; kilka wagonów świeciło bezwzględna pustką. Na kurytarzu biegnącym wzdłuż przedziału klasy II. kręciło się parę osób z walizkami w rękę; oczy ich niespokojne, ruchy nerwowe zdradzały podniecenie.

— Zapewne chcieli już wysiąść w Drohiczynie — rzucił przypuszczenie inżynier — lecz w ostatniej chwili odmyślili się.

— I teraz żałują — dopowiedział Ryszpans.

W tej chwili ukazał się na platformie garbaty budnik. Na twarzy jego grał groźny, demoniczny uśmiech. Za nim wyciągniętym szeregiem postępowało kilku podróżnych. Przechodząc obok profesora i jego towarzysza, Wiór powitał ich jak dobry znajomy:

— Rewia skończona. Proszę panów za mną.

U wylotu kurytarza rozległ się krzyk kobiety. Mężczyźni

spojrzeli w tę stronę i spostrzegli znikającą w otworze odchylonych drzwi postać jakiegoś pasażera.

— Wypadł czy wyskoczył? — odezwało się parę głosów.

Jakby w odpowiedź zanurzył się w czeluść przestrzeni drugi pasażer, za nim podążył trzeci, za tym rzuciła się w dzikiej ucieczce reszta zdenerwowanej grupy.

— Powaryowali?! — zapytał ktoś w głębi. — Wyskakiwać z pociągu w pełnym biegu? No, no...

— Znać spieszno im było na ziemię — szydził inżynier. I nie przypisując już większej wagi zajściu, wrócili do przedziału, w którym zniknął tymczasem drożnik. Tu prócz Wióra zastali dziesięć osób, w tem dwóch konduktorów i trzy kobiety. Wszyscy pozajmowali miejsca na ławkach, wpatrzeni z uwagą w garbatego budnika, który stanął w pośrodku przedziału.

— Panowie i panie! — zaczął, obejmując obecnych płomiennem spojrzeniem. — Wszystkich nas razem wraz ze mną 13. Fatalna liczba! Nie... — pomyliłem się — 14 wraz z maszynistą — a to też mój człowiek. Garstka to, garstka, lecz dla mnie wystarczy...

Ostatnie słowa domówił półgłosem jakby do siebie i umilkł na chwilę. Słyszać było tylko łoskot szyn i turkot kół wagonowych.

— Panowie i panie! — podjął Wiór. — Nadeszła chwila osobliwa, chwila ziszczenia wieloletnich tęsknot. Pociąg ten już do nas należy — opanowaliśmy go niepodzielnie; żywioły obce, obojętne lub wrogie wydzielone już z jego organizmu. Panuje tu bezwzględnie atmosfera ślepego toru i jego moc. Za chwilę moc ta ma się objawić. Kto nie czuje

się dostatecznie przygotowanym, niechaj cofnie się w porę; potem może być za późno. Przestrzeń. Przestrzeń wolna i drzwi otwarte — za całość i bezpieczeństwo ręczę. — Więc? — rzucił wkoło badawcze spojrzenie — Więc nikt się nie cofa?

Odpowiedziało głębokie, tętniące przyspieszonym oddechem dwunastu ludzkich piersi milczenie.

Wiór uśmiechnął się tryumfująco:

— Zatem dobrze. Wszyscy tu pozostają z własnej, dobrej woli, każdy sam odpowiada za swój krok w tej chwili.

Podróźni milczeli. Niespokojnie ich tlejące gorączkowym światłem oczy nie schodziły z twarzy droźnika. Jedna z kobiet dostała nagle histerycznego śmiechu, który pod spokojnym, zimnym spojrzeniem Wióra nagle ustąpił. Budnik wydobył z zanadru czworoboczną tekturę z jakimś rysunkiem:

— Oto nasza dotychczasowa droga — wskazał palcem na podwójną linię czerniejącą na papierze. — Tutaj po prawej ten mały punkt — to Drohiczyn, który przed chwilą minęliśmy; ten drugi, większy w górze — to Groń, końcowa stacya na tej linii. Lecz my do niej już nie dotrzemy — ta meta już nam teraz obojętną.

Przerwał, wpatrując się intensywnie w rysunek. — Dreszcz grozy wstrząsnął słuchaczy. Słowa Wióra padały na dusze ciężko jak roztopiony ołów.

— A tu, na lewo — objaśniał w dalszym ciągu, przesuając wskaźnik ręki — wykwita ponsowa linia. Widzicie ją, jak wije się czerwonym szlakiem, oddalając coraz bardziej od toru głównego?... To linia ślepego

t o r u. Na nią mamy wyjechać...

Znów zamilkł i studyował krwawą wstęgę.

Zewnątrz przedostawał się łomot rozpętanych kół; pociąg widocznie podwoił chyżość i pędził z szaloną furią.

Droźnik mówił:

— Chwila nadeszła. Niechaj każdy przybierze pozycję siedzącą lub niech się położy. Tak... dobrze — kończył, przechodząc uważnym spojrzeniem podróżnych, którzy jak zahypnotyzowani spełnili zlecenie. — Teraz mogę zacząć. Bacność! Za minutę zbaczamy...

Trzymając prawą ręką rysunek na poziomie oczu, wpatrzył się weń raz jeszcze fanatyczną mocą rozszerzonych nagle źrenic... W tem zeszywniał jak drewno, wypuścił z rąk tekturę i jak zlodowaciały stanął bez ruchu w środku przedziału; oczy podeszły w górę tak silnie, że widać było tylko brzeg białek, twarz przybrała wyraz kamienny. Nagle zaczął iść ku otwartemu oknu krokiem drewnianym jak automat... Oparł się o ramę dolną jak belka, odbił nogami od podłogi i wychylił połową ciała w przestrzeń; postać jego wyciągnięta sztywnie poza okno jak igła magnesu zawahała się parę razy na osi ramy i ustawiła pod kątem do ściany wagonu...

Wtem rozległ się piekielny trzask jakby druzgotanych wagonów, wściekły gruchot kruszonego żelaziwa, łomot sztab, zderzaków, hłańcanie rozhukanych kół i łańcuchów. Wśród zgiełku rozszczepionych zda się na drzazgi ławek, walących się drzwi, wśród rumoru zapadających się pował, podłóg, ścian, wśród szczęku pękających rur, przewodów, zbiorników zajęczał rozpaczliwie gwizd lokomotywy...

Nagle wszystko zamilkło, wbiło się w ziemię, rozwiało i uszy napełnił wielki, potężny, bezkresny szum...

I owinęło świat cały na długi, długi czas owo szumiące trwanie i zdawało się, że grają pieśń groźną wszystkie ziemskie wodospady i że szeleszczą bezlikiem liści wszystkie ziemskie drzewa... Potem i to zgłuchło i nad światem rozlała się wielka cisza mroku. W przestworzach martwych i niemych rozpościerały się czyjeś niewidzialne, czyjeś bardzo pieściwe ręce i gładziły kojąco kiry przestrzeni. A pod tą łagodną pieszczotą rozchybotały się jakieś miękkie fale, nadpłynęły cichymi rurami i ukołysały na sen... Na słodki cichy sen...

W jakiejś chwili profesor ocknął się. Spojrzał półprzytomny na otoczenie i zauważył, że jest w pustym przedziale. Ogarnęło go nieokreślone uczucie obcości; wszystko poza nim wydało się jakieś inne, jakieś nowe, czemś do czego trzeba się było dopiero przyzwyczaić. Lecz przystosowanie szło dziwnie opornie i powoli. Trzeba było poprostu zmienić zupełnie „punkt widzenia i patrzenia“ na rzeczy. Ryszpans miał wrażenie człowieka, który wychodzi na światło dnia po długiej wędrówce w milowej długości tunelu. Przejerał ośleplę od ciemności oczy, ścierał mgłę przesłaniającą widok. Zaczął przypominać...

W myśli przesuwaly się kolejno wypłowiałe obrazy wspomnień, które poprzedziły... t.o. Jakiś huk, łomot, jakiś nagły, niwelujący wszystkie wrażenia i świadomość udar...

— Katastrofa! — zamajaczyło niewyraźnie.

Spojrzał uważnie po sobie, powiodł ręką po twarzy, po czole — nic! Ani kropli krwi, żadnego bólu.

— Cogito — ergo — sum! — zawyrokował wreszcie.

Przyszła ochota przejścia się po przedziale. Opuścił miejsce, podniósł nogę i... zawisnął parę cali nad podłogą.

— Tam do licha! — mruknął zdumiony. Straciłem ciężar właściwy, czy co? Czuję się lekki jak pióro.

I powędrował w górę aż pod strop wozu.

— Ale co też się stało z tamtymi? — przypomniał sobie, schodząc ku drzwiom do sąsiedniego przedziału.

U wejścia spostrzegł w tej chwili inżyniera, który uniesiony również parę centymetrów nad podłogą, ścisnął mu serdecznie rękę.

— Witam kochanego pana! I pan, widzę niezupełnie w porządku z prawami ciężkości?

— Ha, cóż robić? — westchnął z rezygnacją Ryszpans.
— Pan nie raniony?

— Broń Boże! — zapewnił Zniesławski. — Jestem cały i zdrów jak ryba. Przed chwilą dopiero przebudziłem się.

— Szczególne przebudzenie. — Ciekaw też jestem, gdzie się właściwie znajdujemy?

— Ja również. Pędzimy, zdaje się, z zawrotną chyżością.

Wyjrżeli przez okno. — Nic — pustka. Tylko silny, chłodny prąd, wiejący zewnątrz nasuwał przypuszczenie, że pociąg leci jak furja.

— To dziwne — zauważył Ryszpans. Absolutnie nic nie widzę. Pustka w górze, w dole, pustka przedemną.

— A to sensacje! Jest niby dzień, bo jasno, lecz słońca nie widać, a mgły niema.

Płyniemy jakby w przestworzu, która też może być

godzina?

Spojrzeli równocześnie na zegarki. Po chwili inżynier podniósł oczy na towarzysza i spotkał się z jego spojrzeniem mówiącem to samo.

Nic odczytać nie mogę. Godziny zwały się w czarną, falistą linię...

Po której wskazówki przesuwają się błędnym, nic nie mówiącym ruchem.

— Fale trwania przelewające się jedna w drugą bez początku i końca...

— Zmierzch czasu...

— Patrz pan — zawołał nagle Zniesławski, wskazując ręką na przeciwległą ścianę wozu. — Widzę przez tę ścianę jednego z naszych; owego zakonnika — ascetę — pamiętasz?

— Tak. To brat Józef, karmelita. Rozmawiałem z nim. Lecz i on nas już spostrzegł; uśmiecha się i daje nam znaki. Co za paradoksalne objawy! Patrzymy przez tę deskę jak przez szkło!

— Nieprzejrzystość ciał lichu wzięło z kretesem — wywnioskował inżynier.

— Zdaje się, że i z nieprzenikliwością nie lepiej — odpowiedział Ryszpans, przesiąkając przez ścianę do drugiego przedziału.

— Rzeczywiście — przyznał Zniesławski, idąc za jego przykładem. Tak przesiąknęli przez kilka parapetów wagonowych i w trzecim z rzędu wozie powitali brata Józefa.

Karmelita skończył przed chwilą modlitwę „poranną“ i

pokrzepiony na duchu cieszył się serdecznie ze spotkania.

— Wielkie sprawy Boże! — mówił, wynosząc w górę głębokie, mgłą zadumy powleczone oczy. — Przeżywamy dziwne chwile. Otośmy wszyscy cudownie przebudzeni. Chwała Przedwiecznemu! Chodźmy połączyć się z resztą braci.

— Jesteśmy przy was — odezwało się zewsząd parę głosów i przez ściany wagonów przesunęło się 10 postaci i otoczyło rozmawiających. Byli to ludzie najrozmaitszych stanów i zawodów, w tem maszynista pociągu i 3 kobiety. Wszystkich oczy mimowoli szukały kogoś, wszyscy instynktownie wyczuwali brak jednego towarzysza.

— Jest nas 13. — przemówił szczupły, o ostrych rysach młodzieniec. — Nie widzę mistrza Wióra.

— Mistrz Wiór nie przyjdzie — rzekł, jak sen brat Józef. — Droźnika Wióra tutaj nie szukajcie. Spójźcie głębiej bracia moi, zajrzyjcie w dusze wasze. Może go znajdziecie.

Umilkli i zrozumieli. Na twarzach rozlał się wielki spokój i zajaśnieli dziwnem światłem. I czytali sobie w duszach i przenikali się nawzajem w cudownem jasnowidztwie.

— Bracia! — podjął zakonnik — kształty nasze dane nam są jeszcze tylko na czas krótki, za chwil parę może je przyjdzie porzucić. Wtedy rozstaniemy się. Każdy odejdzie w swoją stronę, gdzie go poniosą jego losy, wykute w księdze przeznaczeń od wieków, każdy podąży własnym szlakiem, we własną dziedzinę, którą zgotował sobie po tamtej stronie. Oto oczekują nas z tęsknotą rzesze bratnich dusz. Zanim nadejdzie moment pożegnania, posłuchajcie

raz jeszcze głosu z tamtej strony. Słowa, które wam odczytam, spisano dni temu 10, licząc czas ziemskim trybem.

Domawiając tych słów, rozwinął szeleszczące cicho arkusze jakiegoś pisma i zaczął czytać głębokim, przejmującym głosem:

W* 15 listopada r. 1950.

Tajemnicza katastrofa.

Na linii kolejowej Zalesna—Groń zaszedł wczoraj w nocy z 14/15 listopada b. r. tajemniczy wypadek, którego dotąd w zupełności nie zdołano wyjaśnić. Chodzi o losy, którym uległ między godz. 2—3 po północy pociąg osobowy Nr. 20. Właściwą katastrofę poprzedziły dziwne objawy. Oto publiczność jakby przeczuwając grożące niebezpieczeństwo, wysiadała tłumnie na stacyach i przystankach przed miejscem fatalnego wypadku, choć cel jazdy leżał znacznie dalej; zapytywane przez władze stacyjne osoby o powód przerywania podróży, tłumaczyły się niejasno, jakby nie chcąc zdradzić motywów dziwnego postępowania. Charakterystycznym jest fakt, że w Drohiczynie opuściło pociąg nawet kilku pełniących wtedy służbę konduktorów, którzy woleli narazić się na surową karę władz i utratę posady, niż jechać dalej; tylko trzech ludzi z całego personelu pociągowego wytrzymało na stanowisku. Z Drohiczyna odjechał pociąg niemal pusty. Kilku niezdecydowanych podróżnych, którzy w ostatniej

chwili cofnęli się do wnętrza wagonów, wyskoczyło w kwadrans potem podczas ruchu w czystym polu. Ludzie ci cudem jakimś wyszedłszy cało z rzekomej imprezy, wrócili rano koło 4-tej piechotą do Drohiczyna. Byli to świadkowie ostatnich chwil fatalnego pociągu tuż przed katastrofą, która musiała zajść w parę minut potem...

Koło 5-tej nad ranem nadszedł z budki droźnika Zoły, położonej 5 km. za Drohiczynem pierwszy sygnał alarmowy. — Kierownik stacyi wszedł na dresynę i w pół godziny stanął na miejscu wypadku, gdzie spotkał już komisję śledczą z Rakwy.

Dziwny obraz przedstawił się oczom obecnych. W czystym polu, kilkaset metrów za budką droźnika stał na szynach rozerwany pociąg: 2 wagony tylne zupełnie nieuszkodzone, potem przerwa, odpowiadająca długości trzech wozów — znów 2 wozy sprzężone łańcuchami, w stanie normalnym — luka jednowagonowa — wreszcie na przodzie jaszczyk; lokomotywy brakło. Na torze, na platformach, na schodkach żadnych śladów krwi, nigdzie rannych ani zabitych. Wnętrza wagonów również puste i głucho, nie znaleziono ani w jednym przedziale zwłok; nie stwierdzono najlżejszego uszkodzenia w pozostałych wagonach....

Szczegóły naocznie spisano i odesłano do dyrekcyi. Sprawa przedstawia się tajemniczo i organa kolejowe nie spodziewają się rychłego jej wyświeślenia....

Karmelita zamilkł na chwilę, odłożył pismo i zaczął z kolei odczytywać drugie:

W* 25 listopada 1950 r.

Zdumiewające rewelacje i szczegóły do katastrofy kolejowej z d. 15 b. m.

Tajemniczych wypadków, które rozegrały się na linii kolejowej za Drohiczynem 15 b. m. nie zdołano wyjaśnić do chwili obecnej. Owszem coraz głębsze cienie padają na zdarzenie i mącą orientację.

Dzień dzisiejszy przyniósł szereg zdumiewających wiadomości, które pozostając w związku z katastrofą, zaciemniają jeszcze bardziej sprawę i budzą poważne, daleko sięgające refleksje. Oto, co nam podają telegramy z autentycznych źródeł:

— Dziś 25 b. m. nad ranem na miejscu katastrofy zaszłej przed 10. dniami wyłoniły się wagony pociągu osobowego Nr. 20., których brak stwierdzono w dniu wypadku. Znamiennym jest szczegół, że wozy ukazały się na przestrzeni nie jako jednolity pociąg lecz porozrywane w grupach po 1., 2. lub 3, odpowiadających lukom zauważonym naocznie 15 b. m. Przed pierwszym wozem, w odstępie jaszczyka pojawiła się w pełnym składzie maszyna.

Przerażeni nagłym pojawem kolejarze zrazu nie śmieli zbliżyć się do wagonów, uważając je za widma lub twór zwidzenia. W końcu jednak, gdy wozy nie znikwały, nabrali odwagi i weszli do wnętrza.

Tutaj przedstawił się ich oczom okropny obraz. W jednym z przedziałów zastali zwłoki 13 osób rozciągnięte na ławkach lub w pozycjach siedzących. Rodzaju śmierci dotąd nie ustalono. Ciała nieszczęśliwych nie wykazują żadnych obrażeń zewnętrznych ani wewnętrznych, niema też najmniejszej poszlaki uduszenia lub zatrucia. Śmierć ofiar pozostanie prawdopodobnie zagadką nie do rozwiązania.

Z pomiędzy 13 osób, które uległy tajemniczemu zgonowi, dotąd zdołano stwierdzić tożsamość sześciu: brata Józefa Zygwulskiego, z zakonu O.O. Karmelitów, autora paru głębokich traktatów mistycznych, prof. Ryszpansa, znakomitego psychologa, inżyniera Zniesławskiego, cenionego wynalazcy, maszynisty pociągu, Stwosza i dwóch konduktorów. Nazwiska reszty osób narazie nieznane....

Wieść o tajemniczym wypadku obleciała lotem błyskawicy cały kraj, wywołując wszędzie wstrząsające wrażenie. Pojawiły się już w prasie liczne czasem głębokie objaśnienia i komentarze. Odzywają się głosy, piętnujące określanie zdarzenia „katastrofą kolejową“ jako fałszywe i naiwne.

Towarzystwo badań psychicznych podobno planuje już szereg odczytów, które w dniach najbliższych wygłosi kilku wybitnych psychologów i psychiatrów.

Zaszedł fakt, który prawdopodobnie zaciąży na długie lata nad nauką, ukazując jej nowe, nieznane horyzonty....

Brat Józef skończył i gasnącym już głosem zwrócił się do towarzyszy:

— Bracia! Chwila rozstania nadeszła. Oto już rozsnuwają się kształty nasze.

— Przekroczyliśmy rubież życia i śmierci — zabrzmiał jak dalekie echo głos profesora.

— By wstąpić w rzeczywistość wyższego rzędu....

Ściany wagonów, mgliste jak opar zaczęły rozsuwać się, rozpuszczać, marnieć.... Odrzynały się wiotkie szale dachów, odchyłały bezpowrotnie w przestrzeń eteryczne zwoje pomostów, lotne spirale rur, przewodów, zderzaków....

Postacie podróżnych, wiotkie i przejrzyste na wylot, wątlały, rozpadały się, rwały na strzępy....

— Żegnajcie bracia, żegnajcie!...

Głosy marły gasły, rozwiewały się... aż zgłuchły gdzieś w zaświatach międzyplanetarnych dali.....



Tekst jest [własnością publiczną](#) (*public domain*). Szczegóły licencji na stronie autora: [Stefan Grabiński](#).

ULTIMA THULE.

Lat temu już dziesięć. Zdarzenie przybrało już kształty rozwiewne, niemal senne — zasnuło się błękitną mgłą rzeczy minionych. Dziś wygląda jak wizya lub jak szalone marzenie; a jednak wiem, że wszystko do najdrobniejszych szczegółów było naprawdę tak, jak pamiętam. Od owej chwili wiele zająć przesunęło się przed moimi oczyma, dużo przeżyłem i niejedyn cios spadł na osiwiąłą mą głowę — lecz wspomnienie wypadku pozostało niezmienione, obraz dziwnej chwili wyrzeźbił się w duszy głęboko na zawsze; patyna czasu nie przyćmiła silnego rysunku, owszem, zda mi się, z lat ubiegim podkreśla cienie w sposób tajemniczy...

Byłem wtedy kierownikiem ruchu w Krępaczu, małej, śródgórskiej stacyi niedaleko granicy; z mojego peronu widać było jak na dłoni wydłużony, szczerbaty łańcuch rubieży.

Krępacz był przedostatnim przystankiem na linii zmierzającej ku pograniczu, poza nim w odległości 50 km. były jeszcze tylko Szczytniska, końcowa stacya kraju, w której stróżował czujny jak żóraw kresowy Kazimierz Joszt,

kolega po zawodzie i przyjaciel.

On sam lubiał porównywać siebie z Charonem, a stację powierzoną swej pieczy przemianował artystycznym trybem na Ultima Thule. Widziałem w tem dziwactwie nie tylko reminiscencye ze studyów klasycznych, gdyż racya obu nazw tkwiła głębiej, niżby się na pozór zdawało.

Okolice Szczytnisk była dziwnie piękna. Chociaż oddalona od mojego posterunku ledwo o trzy kwadransy drogi pociągiem osobowym, zdradzała zasadniczo odrębny i swój charakter, jakiego nie spotykało się nigdzie w tych stronach.

Malutki budynek stacyjny przytulony do potężnej, granitowej ściany, spadającej prostopadle w dół przypominał jaskółcze gniazdo, przypięte do wnęki skalnej. Wokoło spiętrzone na 2000 m. szczyty grały w półmroku przestrzeń, stację i magazyny. Posępny smutek zwiany z czoł olbrzymów owijał nieuchwytnym całunem kolejową przystań. W górze kłębiły się wieczne mgły i staczały w dół turbanami mokrych oparów. Na poziomie 1000 m, mniejwięcej w połowie swej wysokości tworzyła ściana gżems w kształcie olbrzymiej platformy, które wyźłobienie niby czarę wypełniało po brzegi modro-srebrzyste jezioro. Parę zaskórnych strumieni zbratawszy się potajemnie w trzewiach góry, biło z jej boku tęczowym łukiem siklawy.

Po lewej usłóń skały w zarzuconym na ramiona wiecznie zielonym płaszczu jodeł i limb, po prawej dzikie urwisko z kosodrzewiną, naprzeciw, niby słup kresowy nieugięta grań wirchu. Nad nią przestrzeń nieba, chmurna lub pod brzask zrumieniona zorzą porannego słońca — poza nią.. świat

inny, obcy, nieznany. Dzika, zamknięta ustronń, groźną poezją szczytów owiana rubież...

Stację łączył z resztą przestrzeni długi, w skale wykuty tunel; gdyby nie on, izolacja zakątka byłaby zupełną.

Ruch kolejowy zabłąkany pomiędzy samotne turnie małał, słabł, wyczerpywał się. Nieliczne pociągi niby bolidy, wytrącone z ruchu centralnego wyłaniały się rzadko z czeluści tunelu i zajeżdżały przed peron cicho, bezgłośnie, jakby w obawie, by nie zmącić zadumy górskich geniuszy. Nikłe wibracje wniesione za ich przybyciem w śródgórskie zacisze tężały rychło i krzepły wylękle.

Po opróżnieniu wagonów maszyna szybowała parę metrów poza peron i pociąg podjeżdżał pod sklepistą, w granitowej ścianie wykutą halę. Tu stał długie godziny, wypatrując mroki pieczary oczodołami pustych okien, w oczekiwaniu na zmianę. Gdy nadszedł upragniony towarzysz, opuszczał leniwo skalne schronisko i odchodził w świat życia, w ognisko mocno grających tętn. A tamten zajmował jego miejsce. I znów stacya zapadała w senne drzemanie spowite kwefem mgieł. Ciszę odludzia przerywał chyba skwir orląt po okolnych żlebach lub szmer staczających się w parowy piargów...

Lubiałem tę górską pustelnię ogromnie. Była dla mnie symbolem tajemniczych krańców, jakimś mistycznym pograniczem dwóch światów, jakby zawieszeniem między życiem a śmiercią.

W każdą wolną chwilę powierzwszy Krępacz opiece mego asystenta, jeździłem dresyną w odwiedziny do Szczytnisk do kolegi Joszta. Przyjaźń naszą starą, bo

zawartą jeszcze na szkolnej ławie wzmocniła wspólność zawodu i blizkie sąsiedztwo. Zżyliśmy się z sobą bardzo i dzięki częstej wymianie myśli stopili w przedziwną jedność.

Joszt nigdy wizyt nie oddawał.

— Nie ruszę się już stąd ani krokiem — odpowiadał zwykle na moje wymówki — tutaj mi już zostać do końca. — Bo czyż nie pięknie? — dorzucał po chwili, obejmując zachwyconem spojrzeniem otoczenie.

Przyznawałem w milczeniu i wszystko wracało do dawnego porządku.

Niezwykłym człowiekiem był kolega Joszt, ze wszech miar dziwnym. Mimo swej iście gołębiej łagodności i bezprzykładnej dobroci nie cieszył się sympatyą w okolicy. Górale zdawali się stronić od naczelnika stacyi, zdaleka schodząc mu z oczu. Przyczyna leżała w dziwacznej opinii, którą sobie o nim niewiadomo jak ludzie urobili. Joszt uchodził wśród ludu za „widuna“ i to w ujemnym tego słowa znaczeniu. Mówiono, że przewiduje u bliźnich „przywilej śmierci“, że niejako przeczuwa chłodny jej powiew na twarzach wybrańców.

Ile w tem było prawdy, nie wiem — w każdym razie zauważyłem w nim coś, co mogło zaniepokoić umysł wrażliwszy i skłonny do przesądów. Utkwił mi mianowicie w pamięci następujący dziwny zbieg okoliczności.

Był w Szczytniskach między funkcjonaryuszami stacyjnymi zwrotniczy nazwiskiem Głodzik, pilny i sumienny pracownik. Joszt bardzo go lubiał, traktując nie jak podwładnego lecz jak kolegę i towarzysza zawodu.

Pewnej niedzieli, zjechawszy jak zwykle w odwiedziny, zastałem Joszta w posepnym nastroju; był chmurny jakiś i ponury. Zapytany o powód zbył mię zrazu niczem i gwałtem nadrabiał miną. Wtem nawinął się Głodzik; coś tam meldował, prosił o dyspozycje. Naczelnik bąknął ni to, ni owo, popatrzył mu dziwnie w oczy i uściskał jego szorstką, spracowaną rękę.

Zwrotniczy odszedł zdumiony zachowaniem się przełożonego, kręcąc z niedowierzaniem swoją dużą, kędzierzawą głową.

— Biedak! — szepnął Joszt, patrząc smutno za mm.

— Dlaczego? — zapytałem, nie pojmując całej tej sceny.

Wtedy Joszt wytlómaczył.

— Miałem zły sen tej nocy — mówił, unikając mego spojrzenia — bardzo zły sen.

— Ty wierzysz w sny?

— Niestety, ten, który śniłem dzisiaj, jest typowym i nigdy nie zawodzi. Widziałem dzisiejszej nocy starą, zapadłą rudere z powybijanymi szybami. Ile razy mi się wyśni ten przeklęty budynek, jest nieszczęście.

— Ale w jakim związku pozostaje to ze zwrotniczym?

— W jednym z pustych okien ujrzałem wyraźnie zarysowaną jego twarz. Wychylił się z tej czarnej nory i powiał ku mnie swą kraciastą chustą, którą zawsze nosi na szyi.

— I cóż stąd?

— To był gest pożegnalny. Ten człowiek wkrótce umrze — dziś jutro, za lada chwilę.

— Sen — mara, Bóg — wiara — usiłowałem go

uspokoić.

Joszt uśmiechnął się tylko z przymusem i zamilkł.

A jednak tegoż dnia wieczorem zginął Głodzik wskutek własnej pomyłki. Wprowadzona w błąd jego fałszywym sygnałem maszyna ucięła mu obie nogi; wyzionął ducha na miejscu.

Wypadek wstrząsnął mną do głębi i przez długi czas unikałem z Josztem rozmowy na ten temat. Wkońcu, może w rok potem zagadnąłem raz niby od niechcenia:

— Od kiedy miewasz twe złowrózbnne przeczucia? O ile pamiętam, nigdy dawniej nie okazywałeś podobnych właściwości.

— Masz słuszność — odparł niemile tknięty poruszoną kwestyą — ta przeklęta właściwość rozwinęła się u mnie dopiero później.

— Wybacz, że cię nękam tą nie miłą sprawą, lecz radbym znaleźć środek do wyzwolenia cię z fatalnego daru.

— Kiedy zauważyłeś to u siebie po raz pierwszy?

— Mniejwięcej przed ośmiu laty.

— Więc rok po twem przesiedleniu się w te strony?

— Tak, w rok po przeniesieniu mnie do Szczytnisk. Wtedy to w grudniu, w samą wigilię przeczułem śmierć Groceli, ówczesnego wójta. Historia stała się powszechnie znana i w ciągu kilku dni zjednała mi zwłowieszczy przydomek „widuna“. Górale zaczęli uciekać przedemną jak przed puszczykiem.

— Dziwne. A jednak coś w tem tkwić musi. Zachodziłby tu zatem klasyczny przykład na t. zw. „drugi wzrok“ (seconde vue), o którym swego czasu naczytałem się dużo

w księgach starej magii. Podobną właściwością obdarzeni być mają dość często górale szkoccy czy irryjscy.

— Tak i ja studyowałem dzieje tego objawu z łatwem do zrozumienia zainteresowaniem. Zdaje mi się nawet, że znalazłem w ogólnych zarysach przyczynę. Twoja wzmianka o puszczykach szkockich czy też irryjskich bardzo trafna, tylko wymaga paru słów uzupełnienia. Oto zapomniałeś dodać, że ci znienawidzeni przez otoczenie, niejednokrotnie wypędzani jak trędowaci poza obręb wsi nieszczęśliwcy zdradzają swe zgubne zdolności tylko tak długo, dopóki przebywają na wyspie; przeniesieni na kontynent tracą żałobny swój dar i niczem nie różnią się od przeciętnych osobników.

— To szczególne. To, co mówisz, świadczyłoby więc o tem, że to wybitnie psychiczne zjawisko przecież zależnem jest od czynników natury chtonicznej.

— Istotnie. Fenomen ten ma dużo w sobie składników tellurycznych. Jesteśmy synami Ziemi i podlegamy jej potężnym wpływom nawet w dziedzinach oderwanych pozornie od jej podłoża.

— Czy objawy własnego jasnowidztwa wywodzisz z podobnych źródeł? — zapytałem po chwili wahania.

— Naturalnie. Wpływa na mnie otoczenie, pozostaję pod działaniem tutejszej atmosfery. Mój złowieszczy przymiot wynikł z nieubłaganą logiką z duszy tej okolicy. Żyję na pograniczu dwu światów.

— Ultima Thule! — szepnąłem, schylając głowę.

— Ultima Thule! — powtórzył jak echo Joszt.

Umilkłem przejęty uczuciem lęku. Po czasie

otrząsnąwszy się z wrażenia, zapytałem:

— Dlaczego zdając sobie tak jasno sprawę z wszystkiego, nie przeniosłeś się dotąd w inne strony?

— Nie mogę. W żaden sposób nie mogę. Czuję, że gdybym się stąd usunął, postąpiłbym wbrew swemu przeznaczeniu.

— Przesądny jesteś Kazik.

— Nie, to nie jest przesąd. To przeznaczenie. Mam głębokie przekonanie, że tylko tutaj, tylko na tym skrawku ziemi mam spełnić ważną jakąś misję; jaką — nie wiem jeszcze dokładnie — mam tylko słabe jej przecucie...

Urwał jakby zląkwszy się tego, co powiedział. Po chwili zwracając swe siwe, przeświecone blaskiem zachodu oczy na skalistą ścianę rubieży, dodał ściszonem szeptem:

— Wiesz, nieraz zdaje mi się, że tu, z tą prostopadłą granią kończy się świat widzialny, że tam, po drugiej stronie zaczyna się świat inny, nowy, jakieś nieznanne w ludzkim języku mare tenebrarum.

Spuścił znużone purpurą szczytu oczy ku ziemi i zwrócił się w stronę przeciwną ku przestrzeni kolejowej.

— A tutaj — dorzucił — tutaj kończy się życie. Oto jego ostatni wysiłek, ostatnia, krańcowa odwaga. Tutaj wyczerpuje się jego twórczy rozmach. Przeto stoję tu jako strażnik życia i śmierci, jako powiernik tajemnic z tej i tamtej strony grobu.

Domawiając tych słów, spojrział mi głęboko w twarz. — Był piękny w tej chwili. Natchnione spojrzenie zamyślonych oczu, oczu poety i mistyka skupiło w sobie tyle ognia, że nie mogłem znieść ich promiennej mocy i

pochyliłem ze czcią głowę. Wtedy zadał mi końcowe pytanie:

— Czy wierzysz w życie po śmierci?

Podniosłem powoli głowę:

— Nic nie wiem. Ludzie mówią, że tyle jest dowodów za, co i przeciw. Radbym uwierzyć.

— Umarli żyją. — powiedział mocno Joszt. Nastąpiło długie, wsłuchane w siebie milczenie. — Tymczasem słońce zakreśliwszy łuk nad zębatym żlebem, skryło tarczę poza jego zrębem.

— Już późno — zauważył Joszt — i cienie wychodzą z gór. Musisz dziś wcześniej spocząć; zmęczyłeś się jazdą.

I na tem zakończyliśmy pamiętną naszą rozmowę, Odtąd ani razu już nie mówiliśmy o rzeczach ostatecznych ani groźnym darze drugiego wzroku. Wystrzegałem się dyskusji na ten niebezpieczny temat, gdyż widocznie sprawiała mu przykrość...

Aż raz pewnego on sam przypomniał mi swe ponure zdolności.

Było to dziesięć lat temu, w środku lata, w lipcu. Daty tych zdarzeń pamiętam dokładnie — wrażyły się w pamięć na zawsze.

Było to w środę, 13 lipca, w dzień świąteczny. Jak zwykle rano przyjechałem w odwiedzin; mieliśmy razem ruszyć ze strzelbami w sąsiedni parów, gdzie pojawiły się dziki. Zastałem Joszta w nastroju poważnym, skupionym. Mówił mało jakby zajęty upartą myślą, strzelał źle, w roztargnieniu. Wieczorem na pożegnanie uściskał mię gorąco i podał zapieczętowany list w kopercie bez adresu.

— Słuchaj Roman — mówił drżącym ze wzruszenia głosem. — Mają zajść w życiu mojem ważne przemiany; być może będę zmuszony wyjechać stąd na czas dłuższy i zmienić miejsce pobytu. Jeśliby to rzeczywiście nastąpiło, otworzysz ten list i odeślesz pod adresem zawartym wewnątrz; sam nie będę mógł tego uskutecznić z rozmaitych powodów, których obecnie nie wymienię. Zrozumiesz to później.

— Chcesz mię opuścić Kaziu? — zapytałem zdławionym od bólu głosem. — Dlaczego? Czy otrzymałeś jaką smutną wiadomość? Może jakie nieszczęście w rodzinie? Dlaczego wyrażasz się tak niejasno?

— Zgadłeś. Ujrzałem dzisiaj we śnie znowu rozwalony dom a w jednej z jego czeluści postać osoby bardzo mi blizkiej. Oto wszystko. Żegnaj Romku!

Rzuciliśmy się sobie w ramiona na długą, długą chwilę. Za godzinę byłem już u siebie i targany burzą sprzecznych uczuć wydawałem instrukcje jak automat.

Tej nocy nie zmrzyłem oka, niespokojnie przechadzając się po peronie. Nad ranem, nie mogąc znieść dłużej niepewności, zatelefonowałem do Szczytnisk. Odpowiedział natychmiast, dziękując serdecznie za troskliwość. Głos jego spokojny i pewny, treść słów pogodna, niemal żartobliwa podziałały kojąco; odetchnąłem.

Czwartek i piątek upłynęły spokojnie. Co parę godzin porozumiewałem się z Josztem telefonicznie, za każdym razem otrzymując odpowiedź uspokajającą: nie zaszło nic ważnego. Podobnie rzecz się miała w sobotę w ciągu dnia.

Zacząłem odzyskiwać zachwianą równowagę i udając się na spoczynek koło dziewiątej wieczór w lokalu służbowym, zwymyślałem go przez tubę telefonu od puszczyków, kruków i t. p. złowieszczych stworzeń, które same nie mogąc znaleźć spokoju, innym go zamęczają. Przyjął wyrzuty w pokorze i życzył mi dobrej nocy. Jakoż wkrótce zasnąłem twardo.

Spałem godzin parę. Nagle wśród najgłębszego snu usłyszałem nerwowe dzwonienie. Na pół przytomny zerwałem się z otomany, zasłaniając oczy przed rażącym światłem gazu w lampie. Dzwonek wzywał powtórnie. Podbiegłem do aparatu, przykładając ucho do receptora.

Mówił Joszt urywanym głosem:

— Wybacz... że ci przerywam sen... Wyjątkowo muszę puścić dziś wcześniej... towarowy Nr 21... Trochę mi nieswojo... Odejdzie za pół godziny... wydaj odpowiedni sygn... Ha!...

Błonka wydawszy parę chrapliwych tonów, nagle przestała drgać.

Nasłuchiwałem z tętniącym głosem sercem, czy czegoś nie usłyszę lecz nadaremno. Z tamtego końca drutu szło ku mnie głucho milczenie nocy.

Wtedy zacząłem sam mówić. Pochylony ku otworowi aparatu rzucałem w przestrzeń słowa niecierpliwe, wyrazy bólu... Odpowiadała kamienna cisza. — Wreszcie zataczając się jak pijany na nogach, odszedłem w głąb pokoju.

Wyciągnąłem zegarek i spojrzałem na tarczę; było 10 minut po dwunastej w nocy. Odruchowo porównałem czas

ze zegarem ściennym nad biurkiem. Rzecz dziwna! Zegar stał. Znieruchomiałe indeksy zasunięte jeden na drugi znaczyły godzinę dwunastą; zegar stacyjny przestał chodzić od dziesięciu minut t. j. od chwili gwałtownego urwania rozmowy! Zimny dreszcz wstrząsnął mem ciałem.

Stałem bezradny w środku pokoju, nie wiedząc, dokąd się zwrócić, co począc. W jakiejś chwili chciałem wsiąść na dresynę i pędzić co sił do Szczytnisk. Lecz w porę wstrzymałem się. Nie mogłem teraz opuszczać stacyi; asystenta nie było, służba pospana, a nadzwyczajny pociąg towarowy mógł lada chwila zajechać przed peron. Bezpieczeństwo Krępacza spoczywało wyłącznie na moich barkach. Nie pozostawało nic innego jak czekać.

Więc czekałem, jak ranny zwierz rzucając się z kąta w kąt pokoju, czekałem z zaciśniętymi ustami, co chwila wychodząc na peron i nasłuchując sygnałów. Wszystko napróżno: nic nie zapowiadało przybycia pociągu. Więc znów wróciłem do biura, by okrążywszy parę razy pokój, ponowić próbę z telefonem. Bezskutecznie: nikt nie odpowiadał.

W dużej stacyjnej sali oświetlonej oślepiająco-białem światłem gazu uczułem się nagle ogromnie samotny. Jakiś lęk dziwny, nieokreślony ujął mię w drapieżne pazury i trząśł, że zacząłem dygotać jak w febrze.

Usiadłem znużony na otomanie i ukryłem twarz w dłoni. Bałem się patrzeć przed siebie, by nie spotkać czarnych palców zegara, wskazujących niezmiennie godzinę północy — jak dziecko bałem się spojrzeć otwarcie dokoła, by nie zobaczyć czegoś straszego, co krew ścina

lodem. Tak minęły dwie godziny.

Nagle drgnąłem. Grały dzwonki telegrafu. Podskoczyłem do stołu, gorączkowo puszczając w ruch przyrząd odbiorczy.

Z bloczku powoli jęło się wysnuwać długie, białe pasemko. Nachylony nad zielonym prostokątem sukna, ująłem w rękę pełzającą wstążkę i szukałem znaków. Lecz rulon był niezapisany; ani śladu rylca. Czekałem z wytężonym wzrokiem śledząc ruch taśmy....

Nareszcie pojawiły się pierwsze słowa w długich, minutowych odstępach, wyrazy ciemne jak zagadka, złożone jakby z trudem wielkim i wysiłkiem, ręką drżącą i niepewną....

...Chaos... mroczno... bezład snu... daleko... szary... świt... oh!... jak ciężko!.. jak ciężko... wyzwolić się... wstręt! wstręt .. szara masa... gęsta... cuchnąca... nareszcie... oderwałem się... Jestem...

Po ostatniem słowie nastąpiła dłuższa, parominutowa przerwa; lecz papier snuł się dalej leniwą falą. I znów pojawiły się znaki — teraz już pewniej stawiane, śmielsze:

...Jestem! Jestem!... Jestem!.... On... mój kształt leży tam... na sofie... zimny, brr... rozpada się powoli... od wnętrza. Obojętny mi już... Przychodzą jakieś fale... duże, jasne fale... wir!... Czujesz ten ogromny wir?!... Nie! Ty go czuć nie możesz... I wszystko przedemną obecne... wszystko teraz... Cudowny odmęt!... Porywa mnie!... z sobą!... porywa!... Idę już, idę.. Żegnaj... Rom...

Depesza nagle urwała się; aparat stanął. Wtedy prawdopodobnie zachwiałem się i upadłem na posadzkę.

Tak przynajmniej utrzymywał asystent przybyły koło trzeciej nad ranem; wszedłszy do biura, zastał mię bez pamięci na ziemi z ręką, owiniętą szarfami papieru.

Oprzytomniawszy, zapytałem o pociąg towarowy. Nie przybył. Wtedy bez wahania wsiadłem na dresynę i wśród pierzchających mroków puściłem motor w stronę Szczytnisk. Po półgodzinnej jeździe byłem na miejscu.

Zaraz u wstępu spostrzegłem, że zaszło coś niezwykłego. Zwykle spokojną i samotną stację zalewał tłum ludzi cisnących się do lokalu służbowego.

Gwałtownie rozpychając gawieź, utorowałem sobie drogę do wnętrza. Tu zobaczyłem paru mężczyzn pochylonych nad sofą, na której leżał z przymkniętymi oczyma Joszt.

Odrąciłem jednego i przypadłem do przyjaciela, chwytając go za rękę. Dreszcz grozy ściał mi krew: ręka Joszta zimna i sztywna jak marmur wysunęła się z mojej i opadła bezwładnie poza brzeg posłania. Na twarzy ściętej mrozem śmierci, w wichurze bujnych, popielatych włosów rozlany był cichy, błogi uśmiech...

— Udar serca — wytlómaczył stojący obok lekarz. — Dziś o północy.

Uczułem ostry, kłujący ból w lewej piersi. Odruchowo podniosłem oczy na zegar ścienny nad otomaną. — I on stanął w tragicznej chwili, i on wskazywał dwunastą.

Obsunąłem się na sofę, siadając przy zmarłym.

— Czy zaraz stracił przytomność? — zwróciłem się do lekarza.

— Na miejscu. Śmierć nastąpiła równo o dwunastej w

nocy w chwili nadawania depeszy przez telefon. Gdy dziesięć minut po północy przybyłem zawezwany przez droźnika, pan naczelnik już nie żył.

— Czy kto telegrafował do mnie między drugą a trzecią?
— zapytałem wpatrzony w twarz Joszta.

Obecni spojrzeli po sobie zdumieni.

— Nie — odpowiedział asystent — to wykluczone. Wszedłem do tego pokoju koło pierwszej, by objąć funkcję po zmarłym i dotąd nie opuściłem lokalu służbowego ani na chwilę. Nie, panie naczelniku — ani ja, ani nikt inny ze służby tej nocy nie używał telegraficznego aparatu.

— A jednak — rzekłem półgłosem — dziś w nocy między drugą a trzecią odebrałem depeszę ze Szczytnisk.

Zapadło głucho, kamienne milczenie.

Jakaś słaba, niedołączna myśl przebierała się z trudem do świadomości....

— List!

Sięgnąłem do kieszeni, rozdarłem kopertę. — Był przeznaczony dla mnie. Oto, co pisał Joszt:

Ultima Thule, 13 lipca.

Drogi Romku!

Mam zginąć wkrótce, nagle. Człowiekiem, którego dziś we śnie widziałem w jednym z okien rudery, byłem ja sam. Może niebawem spełnię swą misję a ciebie wybiorę na pośrednika. Opowiesz ludziom, dasz świadectwo prawdzie.

Może uwierzą, że jest świat inny... Jeśli zdołam. — Żegnaj!
Nie! Do widzenia — kiedyś po tamtej stronie...

Kazimierz.

Koniec.



Tekst jest własnością publiczną (*public domain*). Szczegóły licencji na stronie autora: [Stefan Grabiński](#).

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)^[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: [Demon ruchu. Nowele](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów nie podlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)^[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. [Przyłącz się do nas!](#)^[3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)^[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Zdzisław
- Cafemoloko
- Himiltruda
- Quest-88
- Electron
- Ajsmen91
- Urinbecken
- 83.238.137.146
- 78.88.206.218
- Wieralee
- 149.156.232.191
- Joanna Le
- Ankry
- PMG
- Masur

-
1. [↑](https://pl.wikisource.org) <https://pl.wikisource.org>
 2. [↑](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl) <http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl>
 3. [↑](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kr) https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kr

oki

4. [↑](#)

<http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium>